Nr. 14. Poznań, Niedziela 1go Lipca 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

Czas odnowić przedpłatę.

Donosimy, że nowy zastęp wybitnych publicystów zapisał się do grona współpracowników naszych. Utwory ich zamieścimy niebawem.

Wiec katolicki w Poznaniu.

II.

Z ekstremu w ekstrem, — z krańcowej opozycyi do krańcowego lojalizmu przeniosła nas zapalna słowiańska natura. Wprawiono w ruch wszystkie sprężyny reklamy i z berlińskiego gniazda nowych politycznych prądów słano w kresowe dzielnice fajerwerki legend fantastycznych. Baśń czarodziejska mówiła nam głosem kuszącym, że tam na rządowych wyżynach królują aniołowie ludu polskiego, a każda opowieść Szeherezady z nad Gopła kończyła się równym refrain'em: Przelicytujmy Niemców w lojalności, a z wiosną natury wiosna narodu zawita.

I wierzyła ludność polska zręcznie układanym bajeczkom, a najostrożniejsi nawet z ufnością spoglądali ku wygórowanej czołobitności reprezentantów naszych w parlamencie. Czekano miesiące i lata, a chłód zimowy wiał bezustannie z Berlina. Zaczęto więc sarkać po cichu, głowami kręcić, a w końcu groźne już ciskać pytanie: Gdzie wiosna? gdzie raj obiecany? Wtedy to pojawiło się nagle na ziemi naszej kilka tytułów, krzyżyków i obrazków, a prorocy lojalizmu rękę wyciągali i o „majowych pierwiosnkach“ nucili. Lecz naród nie wierzył już głosom ułudnym, bo tam, gdzie mu wiosnę wskazano, nic krom teatralnej dekoracyi wiosennej nie ujrzał.

Z dnia na dzień rosła opozycya w ludu szeregach. Drwoskość Koła polskiego stała się ulubionym tematem satyry i jedni gromili krótkowidztwo polityczne posłów naszych, a inni snuli oskarżenie na temat owej „Pokusy“, którą autor Irydjona wyśpiewał, lub komentarzy hr. Tarnowskiego do poematu Zygmuta.

Przedstawiciele zelotyzmu tronowego zadrżeli. Jasnem się stało, że świątynia sztucznie wzniesiona grozi ruiną i w gruzy rozpaść się musi, jeżeli gmachu zrysowanego nie podeprą nowe kolumny. Radzono długo, układano plany sekretne w poznańskich kuźniach politycznych i oto zjawił się filar upragniony w postaci wieca katolickiego.

Już sama zewnętrzna forma wielkiej manifestacyi zdradzała poniekąd nowe prądy polityczne, a pamięć Torunia i nazwiska mówców były niejako marką fabryczną poznańskiego wiecu. Tu z konieczności poruszyć nam wypada sprawę nieco drażliwą, którą pisma poznańskie mimo jej doniosłości kryją pod płaszczem milczenia lub maską domyślników niejasnych, — mówimy o stanowisku ks. arcybiskupa Stablewskiego wobec polityki naszej. Czcimy w arcypasterzu kapłana, męża nauki i dawnego obrońcę narodu w parlamencie niemieckim, ale cześć ta nie powinna nikomu krytyki w ustach zapierać, gdy mąż tej miary występuje w charakterze działacza politycznego i dyplomaty. Najwyższy dostojnik kościoła i polityk o najpotężniejszych wpływach w społeczeństwie naszem — oto całość z dwóch złożona składników, które, mimo protestu pewnych koteryi w interesie narodu dzielić należy. Takie stanowisko jest nieodzownem, jeżeli krytyka w społeczeństwie naszem ma być jasną i uczciwą, a chociaż w pewnych kołach pojawiają się z naruszeniem praw logiki zdrowej, odmienne tendencye i hasła, to usiłowania te noszą na czole piętno gwałtu zadanego krytyce dla salwowania własnych aspiracyi stronniczych.

Za bystrym jest umysł ks. arcybiskupa Stablewskiego, aby w takiem pojmowaniu obowiązków naszych upatrywać miał brak należytego szacunku dla tronu swojego; bez wahania zatem, bez półsłówek nieśmiałych, otwarcie, głośno, wyraźnie określamy działalność dostojnego polityka.

Toruńska mowa ówczesnego posła Stablewskiego odsłoniła przed nami zdecydowanego stronnika lojalizmu politycznego, a rzucając rękawicę wschodniemu sąsiadowi i apostołując głębokie przywiązanie do pruskiej monarchii, była publicznym manifestem „nowych prądów“, atutem wygranym równocześnie w partyi z Berlinem i w partyi z opozycyą narodową.

W ślad za słynną proklamacyą toruńską spłynęło z wyżyn tronowych ku dostojnemu mówcy owo przez arcypasterza, choć w innym duchu, cytowane słowo „Ascende superius,“ — a w chwili tej znikła z horyzontu *p u b l i c z n a* działalność ks. arcybiskupa Stablewskiego w dziedzinie polityki narodowej. Poseł ustąpił, — pozostał dyplomata, a centralne biuro polityki polskiej przeniosło się wkrótce z stolicy niemieckiej do naszego grodu. Ręka sterująca nawą życia naszego, a osłonięta dyskretnem milczeniem prasy, nie wynurzała się z mgły tajemniczej, ale imię jej było na ustach wszystkich.

Stronnictwo „ugodowe“ zyskało kierownika, obdarzonego niepospolitym talentem politycznym, — dyplomatę, którego blaskiem wyjątkowej powagi opromieniła infuła, — wytrawnego psychologa, który z artyzmem prawdziwym grał na sercach ludzkich. W takich warunkach wzrosła w potęgę „ugodowa“ armja, a wpływ ks. arcybiskupa sięgał coraz dalej, ujarzmiając oporne redakcye i opornych reprezentantów narodu w sejmie i parlamencie. Dzieje Koła polskiego w ostatnich latach, zawierają mnóstwo szczegółów, świadczących o potężnem działaniu politycznem ks. arcybiskupa Stablewskiego, a gdzie tylko opozycya prądów obecnych odważyła się zuchwalej ujawnić swój protest, tam zjawiało się jakieś magicznym zaklęcie i łamało śmiałych buntowników.

Nie możemy tu bliżej charakteryzować rozlicznych środków taktycznych, któremi w zapasach dwóch kierunków Koła polskiego posługiwało się „stronnictwo ugody“, ale to pewna, że w bezorężnej walce wpływ ks. arcybiskupa naszego dominującą odegrał rolę. To same dzieje się w naszych sprawach domowych, w których dyplomacya najwyższego dostojnika ludności polskiej prawdziwe tryumfy święciła, napełniając obawą tych wszystkich, którzy czcząc arcybiskupa jako głowę Kościoła, czci bezwzględnej oddać nie mogli polityce jego. I pojawiły się wonczas tak w obrębie Koła polskiego jak w szeregach inteligencyi, ziemiaństwa, ludu, a sporadycznie nawet duchowieństwa, dyskretne głosy niezadowolenia, które nie zaprzeczały wprawdzie arcybiskupowi praw politycznego działania, ale skarżyły się gorzko, że *c h a r a k t e r d u c h o w n y, z n a c z e n i e i w y b i t n e s t a n o w i s k o a r c y p a s t e r z a s t a j e s i ę n a j p o w a ż n i e j s z y m a r g u m e n t e m i a t u t e m p o l i t y c z n y m*, ubezwładniając racye przeciwników.

Słuszności poglądowi takiemu odmówić nie można i dla tego właśnie wszystkie siły wytężyć trzeba, aby przyznając ks. arcybiskupowi swobodę sterowania nawą polityczną, korzystać z praw krytyki nieskrępowanej i uwydatnić wyraźnie dwoisty charakter duchownego dyplomaty. Opierając się na takiem stanowisku zamilczeć nie możemy, że wiec katolicki ujawnił obok charakteru katolickiego, stempel politycznego lojalizmu, a stempel ten zawdzięcza oczywiście potężnemu przedstawicielowi kierunku tego i wpływowemu inicyatorowi wielkiej manifestacyi. Zaznaczyliśmy już na wstępie, że „nowe prądy“ dyplomacyi naszej tracą mimo zręcznych manewrów z dnia na dzień kredyt w narodzie, a wobec tego zrozumieli ojcowie tak zwanej ugody, że zdyskredytowane hasła nowym blaskiem opromienić należy. Znakomitą ku temu sposobność nastręczył wiec katolicki.

Powołano na trybunę mówców, których zapatrywania nie budziły żadnej wątpliwości, że wiecowe przemówienia swoje w apologię nowych prądów zamienią, a powołano ich mianowicie tam, gdzie należało zamaskować bankructwo polityki ugodowej w kwestyi szkolnej i z encykliki papiezkiej wnioski ku obronie lojalizmu politycznego wyciągnąć. Dzieła tego dokonali w pierwszym rzędzie pp. mecenas poseł Dziembowski i radzca dr. Zielewicz. Pierwszy posługiwał się w tym celu metodą „Kuryera Poznańskiego“, charakteryzując nową ustawę szkolną, której skutki fatalne z dnia na dzień jaskrawiej występują, jako świetne zwycięztwo polityki ugodowej, jako pierwszy wyłom w dotychczasowym systemie rządu pruskiego. Zręczną dyalektyką osłonięto tu ciemne strony nowego reskryptu, a intenzywność drobnych światełek do tego stopnia spotęgowano, że zajaśniał przed nami rząd pruski jako dobroczyńca narodu, a Koło polskie z laurem tryumfatora stanęło przed nami. Sofizmat i zuchwałość wywodów zamieniły w zwycięztwo klęskę lojalizmu naszego. Łatwiejsze zadanie miał pan radzca dr. Zielewicz, któremu powierzono temat nader wdzięczny, aby wybić z niego kapitał polityczny dla apologii prądów lojalnych.

Zaufanie do tronu zaleca biskupom i narodowi Leon XIII, a mówca wiecowy za Ojcem Świętym powtórzył, „że wszelka życzliwość cesarza z pewnością nas nie minie“. Na takim fundamencie oparty snuł dalej lojalną opowieść polityk wiecowy rzucając nam z namaszczeniem taką polityczną wskazówkę:

„Domyślać się więc można, że Ojciec św. z cesarzem jegomością o naszych stosunkach rozmawiał i że od niego otrzymał powyższe przyrzeczenie, dla nas zaś ztąd niedwuznaczna wskazówka, kogo się trzymać mamy i gdzie szukać szczerej życzliwości, lecz nie mniej i ta, że nam z godnością, ale statecznie starać się należy, abyśmy stanowiskiem naszem państwowem wobec korony, na tę jej życzliwość sobie zasłużyli“.

Jeżeli do słów powyższych dodamy poglądy ks. Czartoryskiego na prasę opozycyjną, jeżeli uprzytomnimy sobie zdanie posła Dziembowskiego, że głosy, starające się obniżyć w opinii doniosłość nowej ustawy szkolnej, osłabiają wiarę narodu w przyszłość pomyślną, to tendencye wieca katolickiego zarysują się jasno i wyraziście przed krytycznem okiem. Zachwiany gmach bezwzględnego lojalizmu podparto nową kolumną, lecz i ona runie prędzej czy później w obec faktów potęgi.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Organ Słowiańszczyzny południowej „Il Pensiero Slavo“ pisze z powodu śmierci poety chorwackiego Stefana Buzolicza na czele numeru, co następuje:

„Zeszłej niedzieli otrzymaliśmy ze Zadaru smutną wieść o śmierci jednego z najwybitniejszych poetów chorwackich, Dr. Stefana Buzolicza. Smierć poety wywołała wszędzie w każdym zakątku naszego kraju boleść i głęboki smutek.

Dr. Stefan Buzolicz, natchniony piewca, dzielny pedagog, śmiały poseł, który na każdem miejscu, przy każdej sposobności dokumentował swoją miłość gorącą i cześć dla ojczyzny, był bez wątpienia jednym z najlepszych synów Chorwacyi.

„Szczęśliwy tłómacz Dantego, Ariosta, Leopardi'ego i innych poetów włoskich już nie żyje!

Dotkliwą stratę ponieśliśmy, niepowetowaną w najprawdziwszem znaczeniu wyrazu.

„Kto, jak my, znał ze stosunków najbliższych owego Benjaminka muz, znał szlachetność jego duszy i serce gorące, zapalające się łatwo do wszystkiego, co wielkie i szlachetne, a przytem proste, gołębie, bez cienia dumy i zarozumiałości, nie może pogodzić się na razie z myślą, że go już nie ma między nami!

„Boleść z powodu tej straty nieodżałowanej odczuwa cała Chorwacya! Pamięć o nim wśród ludu chorwackiego nie zagaśnie nigdy!

* *

W numerze 37 tegoż pisma znajdujemy artykuł o „Przeglądzie Poznańskim“. „Il Pensiero Slavo“ wyraża radość, że już poraz trzeci znajduje w piśmie naszem artykuły swoje i upatruje w tem dowód, że wśród „qui nostri opressi confratelli della Polonia prussiana“ (uciśnionych naszych współbraci Polski pruskiej), budzi się interes dla spraw Słowiańszczyzny południowej.

„Il pensiero Slavo“ pisze o sobie dla naszej informacyi, że jest specyalnie organem chorwacko-słowiańskim, ogólnie zaś dąży do tego, aby całą, nietylko południową reprezentować słowiańszczyznę.

* * *

Moskalofilski „Hałyczanin“, wychodzący we Lwowie, takie poświęca stosunkom rusińsko-polskim na Bukowinie uwagi:

„Na Bukowinie żyją obok siebie dwie narodowości: rusińska i rumuńska i w państwie konstytucyjnem austryackiem należą im się równe prawa narodowe. Jak pierwszej, tak drugiej przysługuje na mocy praw historycznych autonomia w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. Jak w każdym po większej części kraju żyje tam obok ludności tubylczej pewna liczba przybyszów, których spekulacya lub los zagnały do cudzego kraju. Do tych ostatnich należą Niemcy i Polacy. Mają oni prawo używania swobód obywatelskich, ale nie mają go do autonomii językowej. Przeciwnie, poczucie prawa powinno ich nakłonić do współdziałania nad uzyskaniem autonomii zupełnej tych narodowości, wśród których się znaleźli, gdzie zdobyli sobie kawałek chleba, sposób do życia i drugą ojczyznę, utraciwszy swoją.

„Na nieszczęście dzieje się na Bukowinie inaczej. Rządy austryackie uważały Bukowinę zawsze ze teren kolonizacyjny. I tak, gdy niemieccy centraliści byli u władzy, dążyli oni do germanizacyi ludności. Wysyłali kolonistów, urzędników i kupców niemieckich, zakładali szkoły, a nawet otworzyli uniwersytet niemiecki, chcąc z niego zrobić basztę niemieckości w kraju posuniętym najdalej na wschód.

„Gdy Polacy przyszli do znaczenia, starali się znowu polonizować. (!?) A dziś z Niemcami zawarli sojusz i przyznawszy im prawo do autonomii językowej, domagają się tegoż dla siebie. Rozpoczęło się podkopywanie cerkwi prawosławnej na Bukowinie, zawezwano jezuitów, ukrainofilskich Rusinów, którzy mieli uprawiać kult separatyzmu Rusi. Wszystko przeniesiono żywcem z Galicyi, nawet system polityczny. Doszło do tego, że Polacy opanowali tam wszystkie ważniejsze posady, dzieląc się z Niemcami i ukrainofilskimi Rusinami. Dla wszystkich, dla których agitacya narodowościowa jest swego rodzaju przemysłem i to intratnym, Bukowina stała się istnem eldorado, na które z halickiej Rusi i z naszego narodu niejedno padło ziarno kąkolowe.

„Odpowiednio do takiej sytuacyi powinna być tam następująca konstelacya polityczna: Z jednej strony Rusini i Rumuni na stanowisku obronnem: z drugiej zaczepiający ich Polacy, Niemcy i Ukrainofile. I taka konstelacya istnieje tam w rzeczywistości. Te dwa kierunki ścierają się w obecnym czasie ze sobą, a echa tej walki odezwały się niedawno w parlamencie austryackim, gdzie Ormianin-Polak Stefanowicz stoczył oratorską bitwę z Rumunami Curkanem i Miskolczem.

---

3)

OLA HANSSON.

SENSITIVA AMOROSA.

Nowe problematy serca.

(Tłóm. **Empa.**)

III.

Mój stary, drogi przyjacielu! Tym razem otrzymujesz mój doroczny list w niezwykłym czasie. Gdybym cię nie znał tak dobrze, to nie wysyłałbym go wcale, tylko napisawszy, byłbym go podarł w kawałki, albo wrzucił do szuflady w biurku. A pisać musiałem. Było mi to konieczną potrzebą i zarazem przyjemnością. W szufladzie nie byłby go nikt zobaczył, tylko ja sam, jeżeli — co się rzadko zdarza — odczytuję moje stare listy. Byłby on się stał smutnem, bolesnem wspomnieniem ostatniej zorzy wieczornej znikającego życia mych uczuć. Ale teraz chcę go jednak wysłać, i ty masz go otrzymać — bo wiem z całą pewnością, że nie wyśmiejesz mnie tak, jakby to inni uczynili, ci, którzy z oddali mnie znają. Ty zrozumiesz, że to najskrytsza i najlepsza część mojej istoty, która wybucha płomieniem, tak, jak ów niebieski, drgający żar, w którym ogień raz jeszcze się wzbija, zanim zgaśnie nad zwęglonem drzewem. — — Ty zrozumiesz mnie zaraz od początku, bo znasz dźwięk, na który moje życie było nastrojone — słyszałeś nutę przewodnią, która zawsze i zawsze wraca w rozlicznych melodyach moich uczuć, i pochwyciłeś ciche, niepewne wibracye w mojej istocie, ponieważ one i w tobie drgały. I dla czegoż ja, który z drżącą nieśmiałością dwudziestoletniego młodzieńca, położyłem w tobie moje pierwsze, bojaźliwe zaufanie, nie miałbym dać ci ostatniego — teraz mianowicie, gdy jestem samotny, stary i zmęczony?...

Zjadłem obiad na tem samem miejscu, co przed dziesięciu laty, niemal z tymi samymi ludźmi; z usługującą dziewczyną zamieniłem te same zdania, jakie się od dziesięciu lat prawie codziennie powtarzają — i szedłem temi sami ulicami, znając na pamięć wszystkie godła, napisy, nierówności chodników i twarze po za szybami. Potem usiadłem na mojem bujającem krześle, aby, jak zwykle, wypalić cygaro, zanim się zabrałem do przejrzenia całego stosu ćwiczeń stylistycznych, czekających na mnie, na biurku. Wszystko tak, jak przed dziesięciu laty — w tym samym pokoju — pomiędzy temi samemi meblami — z temi samemi myślami powszedniemi i powszedniem usposobieniem. Ale nagle — nie wiem czemu — zaczęło się wszystko zmieniać — nikt zaś nie byłby mi umiał powiedzieć, w jaki sposób to się działo, bo początek tej zmiany był tak nieznacznym, że nie można go było dostrzedz, albo tak skomplikowanym, że nie można go było rozwiązać; był to może jaki zwyczajny szelest na ulicy, albo woń jednego z moich kwiatów, albo przestawienie jakiegoś sprzętu w pokoju — albo cośkolwiekbądź innego, ale co? Nie wiem!

Nie mogłem też dokładnie rozpatrzeć się w niezliczonym natłoku myśli i obrazów, jakie w jednej chwili przesunęły się przed oczami mej duszy — ani odróżnić jednego od drugiego — wszystko bowiem stało się tak szybko, jak kiedy promień światła padnie do ciemnego pokoju. Nie wiem też, jakiemi były owe ogromne kłęby mgły, w których zdawało mi się, że się rozpływam i ginę — bo znikły znowu w tej samej chwili, w której niby rozwijały się do nieskończoności. Było to też tylko uczucie wszystkiego razem — uczucie to zostawało, zagłębiało i potęgowało się, a w głębi mej istoty uczuwałem jakąś bolesną słodycz, która mnie całego ogarniała, aż w końcu dziwne gorąco jakieś wkradło mi się pod powieki. I w następnej chwili przyszło mi na myśl, że przed wielu laty działo się ze mną tak samo, gdy umysł mój wzruszał się wspomnieniami — że

„Z mów przy tej sposobności wypowiedzianych można było dość jasnego nabrać pojęcia o stosunkach w kraju. Antagonizm, z nich wynikający, nie da się łatwo usunąć, to też na razie nie może być mowy, aby Bukowina uzyskała jakiekolwiek ustępstwa autonomiczne.“

* * *

Słowackim „Narodnim Nowinom“ piszą ze Zagrzebia:

„Nieszczęściem dla ludów słowiańskich jest stary, po dziadach naszych odziedziczony grzech, który nazywa się niezgodą. Rana ta krwawi się i na ciele chorwackiem. Już się radowaliśmy, że pomiędzy t. zw. stronnictwem prawa „„stranka prava““ (Dr. Starczewić) a niezawisłem stronnictwem narodowem (biskup Strossmayer) przyjdzie do porozumienia się braterskiego, ale radość nasza nie trwała długo, ponieważ zamiar pogodzenia się spełzł z tej przyczyny na niczem, że mężowie zaufania stronnictw prawa uparcie domagali się, aby złączone stronnictwa przyjęły jego nazwę.

„Nie chcemy rozogniać rany wydawaniem wyroku, ale nie śmielibyśmy pominąć milczeniem, co się później stało w Peszcie. Dr. Józef Frank, mąż zaufania stronnictwa prawa, mówił z redaktorem „„Magyarorszagu““ i jemu miał oświadczyć, że stronnictwo jego nie chce pogodzić się, ponieważ Strossmayerowcy są panslawistami, a jego stronnictwo życzy powodzenia Madziarom, oraz, że ich w usiłowaniach dążących do samodzielności jak największej będzie popierać.

„..Obzor““ wkrótce po pojawieniu się w piśmie madziarskiem tegoż interwiewu wezwał organa stronnictwa prawa, aby rzecz wyjaśniły, atoli dotąd panuje milczenie. Rzecz całą zatem należy uważać za autentyczną.

„Dr. Frank gotów jest pomagać Madziarom w ich usiłowaniach, zmierzających do pognębienia Słowaków, Serbów i Rumunów? Takich ludzi powinien się dr. Starczewicz wyprzeć. Byłoby to nader smutnem, gdyby oświadczenie Dr. Franka było wyrazem przekonań stronnictwa. Gorąco pragniemy, aby temu zaprzeczono...“

* * *

Organ stronnictwa młodosłoweńskiego „Slovenski Narod“, wychodzący w Lublanie, poświęca w artykule wstępnym: „Rusija in Vatikan“ (Rosya a Watykan), stosunkom katolików w Rosyi, takie uwagi:

„Mało było papieży, którzy na polu dyplomatycznem tyle osiągnęli, co Leon XIII. Pod tym względem nie można mu odmówić, iż jest zręcznym, a nawet genialnym dyplomatą. Faktem, posiadającym doniosłość niezmierną dla słowian jest zawiązanie stosunków przyjaznych Watykanu z Rosyą.

„Jest to bolesnem, że Rosya była bezwzględną dla poddanych innych wyznań, ale faktem jest także, że Polacy często zakres narodowy utożsamiali z interesem katolicyzmu (!?)

„Od roku 1866 prześladowanie kościoła katolickiego i Polaków zwiększyło, się zwłaszcza prześladowano duchowieństwo polskie, które stało zawsze na czele akcyi narodowej antyrosyjskiej. Rosya była też zawsze dla duchowieństwa polskiego źle usposobioną, wszakże mianowaniem ambasadora przy Watykanie pokazała dziś dobrą wolę. (!) Przyczyni się to w wysokiej mierze do uspokojenia umysłów poddanych katolickich Rosyi. — przeciwieństwa gwałtowne zostaną złagodzone, a Leon XIII może słusznie powiedzieć o sobie, że dokonał w krótkim czasie panowania swojego tak wielkich rzeczy, których nie dokonały stulecia panowania jego poprzedników. Stan rzeczy obecnych wyrównał bowiem drogę ostatecznemu porozumieniu się prawosławia z katolicyzmem. (!!!)

K.

LITERATURA I SZTUKA.

Nasza krytyka.

Czytając mało, bez stałego kierunku i niedbale, jak to mówią „po łebkach“, lubimy rozprawiać o literaturze w salonach.

Ktoś zagaduje n. p. Xa, czy zna ostatnią powieść Sienkiewicza? — X. wie coś o niej tylko ze sprawozdania pisma, przerzuconego na poczekaniu w cukierni, między jednym łykiem czarnej kawy a drugim, za nic na świecie wszakże nie odpowie: „Nie czytałem jej“. Byłoby to wielkiem ryzykiem: rzecz modna, rozrywana w czytelniach, zakupywana w księgarniach; trudno odezwać się o niej, jak o przeciętnej noweli kobiecego pióra: „Leży to u mnie na biurku już od tygodnia: nie miałem czasu nawet przeciąć kartek“.

Podobne zdanie, wymówione z pobożnem westchnieniem człowieka czynu, którego trapi to, że dzień nie ma 25 godzin, że tyle chwil traci się próżno na nieznośne, uciążliwe, lecz nieodzowne obowiązki towarzyskie, — podobne zdanie bywa nawet czasem w dobrym tonie, trzeba jednak wiedzieć, kiedy je zastosować, by nie zasłużyć na miano „ignoranta“ literackiego. Człowiek, obdarzony instynktem towarzyskim, nigdy nie popełni podobnego błędu. Biorący udział w uczonych gawędach salonowych, wolą wyrażać na chybił trafił sądy o modnych i niemodnych dziełach, mniejsza o to, zkąd poczerpnięte: Ze sprawozdań liberalnych czy też konserwatywnych dzienników, z drugiej, trzeciej czy dziesiątej ręki, aby tylko coś powiedzieć, aby nie okazać się nieukiem, zacofańcem, mumią zaśniedziałą, nie śledzącą ruchu bieżącego piśmiennictwa. I trafia się często, że X., który nie czytał wymienionej z tytułu powieści, rozprawia o niej z Ypsilonem, który nie czytał jej również, a obaj, zachwyceni erudycyą swoją, prześcigają się w przytaczaniu ustępów, zaznaczonych przez krytyków. Jeżeli jeden przeglądał, dajmy na to „Rolę“ a drugi „Prawdę“, następuje sprzeczka zajadła, kończąca się obwinieniem młodej prasy o rozsiewanie zgubnych liberalno-burżoazyjnych, filosemickich teoryi. Słuchacze dzielą się na dwa obozy. Po parogodzinnych rozprawach, ulawszy żółci na powolny postęp ludzkości, na brak u nas ludzi głębszego umysłu i rzetelnej pracy, na rozwielmożnienie się dziennikarstwa, tamującego rozwój wiedzy, polemiści rozchodzą się, zadowoleni z siebie: każdy w duszy wspomina przytaczane na korzyść swoich opinii argumenty, podziwia sam siebie, zkąd mu się one wzięły i, oczarowany polemiczną bystrością swoją, dochodzi do wniosku, że stanowczo marnuje się w ciasnych granicach powszedniego bytu, że stworzony jest do życia parlamentarnego, że, jako obrońca praw pewnej grupy ludzi, dopiero natrafiłby na właściwe powołanie swoje.

Ze starcia się zdań Iksów i Ypsilonów w salonach powstają opinie, które, niby kamyki, rzucone w wodę, zataczając krążki i kręgi, zbiegając się z innemi, wytwarzają owe dziwolągi sądów krytycznych, powtarzanych przez masy, przerabianych stopniowo na stałe niezmienne etykiety, nadawane autorom, dziennikom i pracom publicystycznym. Etykiety te uparte, zajadłe, żądłami pijawek wsysają się w dane nazwiska, dane organy prasy: raz przyjęte przez zwyczaj powszechny, oddziaływają potęgą suggestyi swej nietylko na tłumy Xów, lecz nawet na kształcących się w niezależności sądów przeciętnych krytyków. Ktoś odważny śmiałą ręką usiłuje wskazać błędy tej t. zw. „opinii“, słowa jednostki giną wszakże w unisonowym chórze gawiedzi; nieraz krtań rozerwą, a nie prze-

---

takiej godziny nie miałem w przeciągu ostatnich lat dziesięciu; myślałem, że takie godziny na zawsze już minęły — i w tej samej chwili stał się ów szary dzień jesienny czemś innem, niż był dotąd — czemś, co mnie tajemniczo do siebie pociągało — czemś — czem był przed laty w mojem samotnem, smutnem życiu. Zdawało mi się, że z życia mego zostały skreślone dziesięć ponurych, głupich, pustych lat, albo, że ich wcale nie było. I uczyniłem to, co dawniej zwykle czyniłem, gdy dusza moja była przepełnioną — wziąłem płaszcz i wyszedłem.

Była to sobota — późno w październiku — szary, cichy dzień o ciepłem, wilgotnem powietrzu. Lekka mgła leżała nad miastem i spadała, jako wilgoć na bruk miejski. W niektórych sklepach zapalono już gaz, który smutnie świecił przez zapocone szyby. Wkrótce opuściłem główne ulice z ich przejmującym, ogłuszającym hałasem i im dalej szedłem przedmieściem, które się ciągnęło przedemną dwoma długimi rzędami małych, lichych domków, tem głębszą stawała się cisza dokoła mnie — i tem wyraźniejszą, z powodu jednostajnej, przytłumionej wrzawy za mną i turkotu pojedyńczych wozów ze zbożem na drodze do miasta. Przechodziłem koło restauracyi letniej, której szklanne ściany zabito deskami; na drzewach były czerwone i żółte kolory późnej jesieni, mnóstwo liści leżało już rozrzuconych na zwiędłej trawie i wilgotnej drodze, a czarne, nagie gałęzie rysowały się wyraźnie na szarem tle nieba. Na cmentarzu, w cieniu; pod brunatnem sklepieniem drzew, jaśniały biało kamienne nagrobki, powleczone tu i owdzie mokrym mchem, a bluszcz rozrastał się bujnie na żyznej, czarnej ziemi mogił. Można też było widzieć kilka pojedyńczych, samotnych postaci kobiecych, krzątających się około kwiatów na grobach, albo siedzących nieruchomie na ławce, albo pochylonych nad żelazną kratą — i zdawało mi się, że wszystkie te myśli smutku rozciągają się tam, na cmentarzu, w szarem powietrzu jesiennem, i napełniają je swą niemą, rozpaczliwą boleścią.

Potem stawały się domy coraz to rzadszemi, a ziemia dokoła nich rozleglejszą, bruk znikł zupełnie, i polna droga wiła się wzdłuż wybrzeża pomiędzy szarem, pustem morzem i szarą, obszerną równiną. Przed jednym z domów siedziało kilkoro dzieci i bawiło się piaskiem — na polach orano, lub siano zboże — we wsi, przedemną, szumiała parowa młockarnia — dalej — dzwoniono w jakimś kościele i ponad tą całą scenerą jesienną, ponad tym smutnym krajobrazem — w tem ciepłem, wilgotnem powietrzu, o duszącej ciszy, leżało coś z tego samego spokoju, pełnego nieokreślonego jakiegoś oczekiwania, jak nad świątecznem usposobieniem mych lat dziecięcych; i przypomniał mi się świeżo posypany piasek na świeżo umytej podłodze w mym domu rodzinnym — jeden obraz wywołał drugi i jedno zsuwało się w drugie, jak w zmieniającej się dioramie.

Widziałem drogi, czerniące się świątecznie ubranymi ludźmi, idącymi do kościoła — widziałem ich zgromadzonych na cmentarzu przy murze; słyszałem tych ludzi powtarzających cicho modlitwy za księdzem, i słyszałem hymn na organach: całe życie w pokojach i na drodze przesunęło się przed oczami mojej duszy. W pamięci mojej wypłynęły znowu drobnostki, spoczywające głęboko pod pokładem późniejszych wypadków — zdarzenia, o których od kilkunastu lat nie myślałem, odtworzyły się na nowo w mej myśli, z całą ich pierwotną dokładnością, i twarze, o których nie wiedziałem do kogo należą, zaczęły mi się na nowo ukazywać. Wszystko to, co sięgało najbardziej wstecz w mem życiu, co najgłębiej leżało pod progiem mojej świadomości — wszystko to powstało i tłoczyło się do mnie z świątecznem usposobieniem moich dziecięcych lat.

Zmierzch już zapadł, gdy wróciłem do domu. Zamknąłem drzwi i spuściłem firanki, bo dusza moja była tak przepełnioną i tak uroczyście usposobioną, że chciałem być sam dla siebie i zupełnie samotnym, a tam — pomiędzy innymi — nie było nic, co się zgadzało z mojem usposobieniem. Usiadłem przed ogniem, płonącym na kominku i podczas, kiedy

krzyczą większości, tej podpory czy zapory społecznej.

Wiecznie narzekać, ganić, chwalić tylko przypadkiem i tylko za głosem przeważającej w danej chwili reklamy — to właściwość nasza. Nie ma gawędy literackiej w salonach, w której nie pochowałoby się dwóch, trzech, a — jeżeli dobrze pójdzie — to i dziesięć talentów, pulsujących jeszcze pełnem życiem, umysłów, patrzących na świat trzeźwo. Mamy w sobie coś z charakteru płaczek pogrobowych, które nawet nad domniemanymi nieboszczykami umieją płakać, jęczeć i kiwać boleśnie głowami.

Prus starzeje się i więdnie, gdyż zamiast ciągle igrać z karykaturą, pisze o nieśmiertelności duszy. Sienkiewicz cierpi na anemią mózgu, gdyż w drugiej z kolei powieści przedstawia chorobliwą miłość Płoszowskiego. Świętochowski umarł od dawna, gdyż prócz publicystyki i kilku greckich obrazków, nie drukuje nic od lat paru. Przyjaciele jego przebąkują wprawdzie o jakiemś większem dziele w rodzaju Fausta, ale czego nie mówią przyjaciele? Co zresztą można napisać nowego po wszechludzkiej tragedyi Goethego lub wzorującej się na niej pracy węgra Madacha.

— Pustka grobowa, pustka w naszej literaturze, — narzekają rozziewane na rautach damy i znudzeni panowie, a tymczasem tego, co jest, nie czyta się wcale lub czyta tylko po wierzchu, dla zawartej w romansie intrygi.

Krytycyzm nasz polega głównie na chwytanych tu i owdzie w przelocie, strawestowanych odpowiednio uwag, rzucanych przez przedstwicieli prasy.

Poseł „Prawdy“ charakteryzując przed laty talent Prusa, wspomniał o karykaturze, jako jednej z wybitnych cech jego. Wnet właściwość ta, jedna z wielu przytoczonych przez krytykę, tak wrosła w mózgi czytającej publiki, iż obecnie powieści Prusa bez Dickensowskich karykatur sobie wyobrazić nie umiemy, a X. lub Y. nie znalazłszy ich w którymkolwiek z rozdziałów prac jego, twierdzi apodyktycznie, że filar powieściopisarstwa naszego upada, skoro traci humor.

Prus w polemice z Posłem „Prawdy“ wymawia mu obstawanie przy dawnych prądach wiedzy. Wnet szereg, czychających wiecznie na zarzuty Yksów, korzysta ze sposobności, aby wróżyć bliski zgon pisma, którego kierownik nie idzie z postępem czasu, łata stare futro resztkami przetartych skrawków, walczy arbitralnie w obronie zapatrywań swoich, tyranizuje czytelników ich absolutyzmem, nie popiera wymiany zdań przeciwnych itd. itd.

Dziwnie skłonni jesteśmy do niefortunnego nicowania i rozsiewania w lot tego rodzaju uwag.

Autorowie, goniący za reklamą lub podlegający jej bezwiednie, za szczęśliwem lub nieszczęśliwem zrządzeniem losów, a raczej kaprysu, życzliwie dla nich usposobionych reporterów, — częstokroć gorzko odpokutowywać muszą aureolę głoszonej swej wielkości. Zdarza się n. p., że dwa lub trzy pisma naraz rozdmuchują do niebywałej sławy nazwisko człowieka, piszącego gładko, dobrze, płynnie, salonowo, miłym dla ucha i wyobraźni językiem, lecz nie przejętego darem głębokiej refleksyi, w umyśle którego, niby w szybie zwierciadła, obrazy życia odbijają się barwnie, wyraziście, plastycznie, nie zostawiając wszakże tych świateł i cieni, które czerpie się z własnej, czującej swej duszy, z własnych, wrażliwych, jak czółki, wibrujących przeciągle, nerwów swoich. Przeciwko niezasłużonej reklamie takiego poety, powieściopisarza, czy dziennikarza powstaną dwa lub trzy pisma z obozu przeciwnego: ktoś, oburzony, nazwie autora modnym, salonowym bawidamkiem. Wnet epitet ten, łatwo czepiający się pamięci, tak przywrze się do nazwiska jego, iż nawet przyjaciele jego nie spostrzegą, jak szybko zaczną nim szafować. Poeta ów może napisać po pewnym czasie rzecz głębszą, talent bowiem mężnieje, nabiera jędrności, refleksyi i siły skupienia, przechodząc fazy rozwoju człowieka: opinia nie zmieni się wszakże. Krytyka podniesie zalety danego dzieła: publiczność, owa fala chwiejnych częstokroć, jak kłosy zboża, często zaś upartych zabobonnie umysłów, będzie obstawała przy swojem, dopatrując w dojrzewającym talencie autora, w rozszerzonym widnokręgu jego pojęć, w zdobytym i opanowanym podkładzie społecznym zawsze tylko rzutów zręcznego, salonowego pędzla.

Taki los spotkał ostatnią pracę Gawalewicza; powieść jego **Mechesy**, w której czytelnicy widzą jedynie szereg odtworzonych wzorowo zdjęć fotograficznych i wbrew poglądom sprawozdawców, wykazującym wartość jej społeczną, twierdzą, że lekkie pióro autora nie jest w stanie zdobyć się na rzecz głębszej treści.

Zdarzyło mi się być świadkiem oryginalnej rozmowy w salonie. Jedna z kobiet, noszących w towarzyskim naszym żargonie miano „uczonej“, robiła gorzkie wymówki jednemu z poważnych krytyków młodej prasy za zbytnie wyniesienie „Mechesów“.

— Czy pani czytała tę powieść? — spytał krytyk, wpijając wzrok badawczo w uczoną damę.

— Nie — brzmiała jej odpowiedź. Zmieszana i zakłopotana na razie młoda kobieta dodała po chwili na usprawiedliwienie swoje, że w ogóle nie czytała nigdy i nic Gawalewicza, uważa bowiem za stratę czasu poświęcenie się takiej lekkiej salonowej literaturze.

Podobny fakt charakteryzuje aż nadto skłonność naszą do wygłaszaszania sądów na chybił trafił, jak każe górująca w danej chwili opinia większości.

Kozłem ofiarnym zbytniej reklamy jest u nas również między innymi Hajota. Ktoś przed laty oburzony sztucznem a gwałtownem wyśrubowaniem młodej autorki, nazwał ją czczą, pustą, pozbawioną głębszego polotu, wspomniał coś o pięknych rączkach i nóżkach, stanowiących główną jej ozdobę, większą, aniżeli poezye i nowele, pod któremi tak chętnie podpisuje „pretensyonalny“ swój pseudonim. Ten i ów w salonie powtórzył słowa szydercze, aż rozbiegłszy się one wśród czytającej publiki utkwiły w pamięci na długie lata. Hajota ma pewny i trwały zbyt na prace swoje, znajduje zawsze chętnych nakładców, ten i ów wszakże z pogardliwem niedowierzaniem bierze w ręce jej prace: usposobiony z góry krytycznie, szuka między wierszami owej pustki i czczości, a suggestya ogółu odbija się na sprawozdawcach i krytykach. Bardzo piękny obrazek, w ostatnim zbiorze prac jej zamieszczony p. t. „Ładunek palmowego oleju“ został nazwany w sprawozdaniu jednego z poważnych dzienników naszych zbiorem scen melodramatych jedynie, jakkolwiek, napisany barwnym, czystym językiem, plastycznie i z polotem, zasługuje stanowczo na wyróżnienie i przekupił już może niejednego, z góry dla autorki nieprzychylnie usposobionego czytelnika.

Pisząca te słowa miała szczęście, czy nieszczęście, raz w życiu zabawić się w t. zw. naturalizm nowelistyczny, przedstawiwszy losy dwóch kobiet: jednej — żony i matki o skłonnościach prostytutki, drugiej — dziewczyny publicznej o sercu westalki, którą piekielna wola bytu pchnęła w otchłań brudu i mętów społecznych. Redaktor, przeciwny naturalizmowi, dający jednak w feljetonie pisma swego posłuch najrozmaitszym kierunkom nowoczesnego piśmiennictwa, zamieścił ową pracę. Wnet strażnicy moralności napadli na redaktora i na autorkę dwóch obrazków za demoralizowanie czytającej publiki. Jedno z pism zawołało, łamiąc ręce nad wyuzdaniem młodej prasy, że Zola czerwieniłby się przed szefem naturalizmu naszego. Zapolska, Zapolska zaś czerwieni się niewątpliwie na widok nazwiska autorki „Julki i Leonii“...

---

rzeczywistość, która mnie obecnie otaczała, znikła w dali, jak dźwięk znika w mgle, znalazłem się sam nagle w nowym świecie wspomnień, które zmartwychwstały i nowego nabrały życia.

I była to moja młodość — moja młodość pełna smutku, strachów i przygnębienia, która mię otaczała z tem samem usposobieniem, z jakiem pewnego wrześniowego wieczoru — na równinie — czułem światło księżyca, kładące się na mnie i przytłaczające mnie tak, że popadłem w jakieś konwulsye duszy. Zdawało mi się wtenczas, że widzę się chodzącym na drogach, jak biedny, głodny żebrak i pukającym do drzwi domów — a nikt mi nie otworzył, i stałem na dworze przed domem biesiadników, jak Łazarz, i prosiłem o odrobiny ze stołu bogaczów — o jeden tylko marny kęs tego, co mi konieczne było do życia potrzebnem. I podczas, kiedy muzyka brzmiała i taniec szumiał, i wielkie, bogate życie śpiewało, poszedłem samotny dalej — w noc — jak uderzony pies lub jak trędowaty wyrzutek społeczeństwa.

Przesunęły się też w mej myśli wszystkie kobiety, które w życiu spotkałem i którym patrzałem w oczy — już to badawczo, już to błagalnie! Wszystkie one przeszły koło mnie z obojętnem lub litościwem spojrzeniem i ani jedna nie zatrzymała się i nie zbliżyła się do mnie — przeszły koło mnie — dalej w życie — z innymi. Jedna znalazła szczęście, druga nie, jedna popełniła omyłkę, druga znalazła takiego, jakiego pragnęła, ale ja sam stałem samotny, podczas, kiedy wszyscy szli we dwoje, i w nagłem przerażeniu, i z palącym bólem w sercu zapytałem sam siebie: jakiem jest to życie, w którem nas ani jeden jedyny raz, ani na krótką chwilę, nie kocha kobieta!

Zdawało mi się wtenczas, że widzę dwoje oczu zwróconych na siebie — dwoje oczu ciemnych, badawczych i lękliwych, w których głębi płonął jakiś ogień — z początku widziałem wszystko z daleka, potem coraz bliżej, aż się zwolna ukształciło w jakąś twarz i postać, i w końcu w całą istotę, i widziałem to wszystko tak, jak gdyby się było stało w tej właśnie chwili, a rzeczywiście było to przed blisko dwudziestu laty.

Raz, będąc jeszcze akademikiem, wynająłem pokój u pewnej wdowy po urzędniku, która straciwszy wcześnie męża i syna, wyprowadziła się do miasta, aby tam żyć z małego kapitału, jaki mąż jej pozostawił i spędzić życie aż do końca, z swemi wspomnieniami i swą cichą żałobą, w mierności i odosobnieniu od świata, nie troszcząc się o ludzi, którzy już jej nic dać nie mogli. W drugim roku mego pobytu u niej, spotkałem raz — przy okazyi odwiedzenia mojej gospodyni — pewną młodą dziewczynę ze wsi, którą rodzice umieścili na pensyi w mieście, aby się czegoś nauczyła — nie mogę już sobie przypomnieć — czego. Wi[…] dzieliśmy się z pięć albo sześć razy, ale n[…] zamieniliśmy z sobą żadnych innych słów oprócz tych, które każdy młody człowiek zamie[…] nia z każdą młodą dziewczyną i między nam[i] nie było nic — w każdym razie ja o niczem nie wiedziałem, możesz to już po tem poznać, że nigdy ci o tem nie wspomniałem. Ni[e] było więc nic takiego, co zbacza ze zwy[…] kłej drogi, po której losy ludzi po większej części wędrują. Po upływie pół roku — o ile sobie przypominam — wyprowadziła się „ona“, ale bywała jeszcze raz po raz u wdowy. P[e]wnego dnia, na początku zimy — było t[o] o zmroku — przysłała do mnie moja gospodyni z prośbą, abym ją odwiedził. Wróciłem właśnie z wesołego towarzystwa i znajdowałem się w tem przyjemnem upojeniu, w jakiem człowiek łatwo staje się miękkim i czułym — [sie]działem o zmroku i marzyłem, a ty wiesz, ja[…] kiemi w takiem usposobieniu są wspomnienia, którym odjętą jest cała gorycz i którym tylko słodycz pozostaje i jakie zamki na lodzie bu[…] dują się w fałszywem a czerwonem świetle ksi[…] życowem naszej wyobraźni.

Gdy wszedłem do pokoju — jak wyraźnie widzę jeszcze wszystko! Było to małe mieszkanie o trzech ciasnych, przepełnionych pokojach z mnóstwem sprzętów i grubych dywa[…]

To, że piszę „brzydkie“ nowelki, przyrosło do mnie tak dalece, że dziś, po latach wielu, gdy, prócz różnych odmian jednego i tego samego typu newrozy lub psychozy, nic więcej z wyobraźni wytrząsnąć nie mogę, dziś jeszcze u wód, na liczniejszych prywatnych zebraniach, albo rautach publicznych czają się ku mnie nieznacznie młode panienki, ciekawe poznania osobnika płci żeńskiej, o książce którego nie wolno mówić w domu ich rodziców.

Opinia bywa zaciętą, jak dziecko lub starzec, upierający się wciąż przy swojem. Nie lubi ona nagłych skoków; najwygodniej jej kroczyć po raz utartej ścieżynie bez zboczeń, wymagających ponownego przystosowywania się do danych warunków bytu.

Indywidualizm autora, wyciskający piętno odrębności na pracach jego, bywa u nas częstokroć poczytywanym za ujmę. Ton zasadniczy, rodzaj barwy, jaką wydziela z siebie jaźń piszącego, razi częstokroć czytelników. „X lub Y — mawiają oni — „pisze zawsze jednakowo: dosyć przeczytać jedną rzecz jego, aby mieć pojęcie o wszystkich innych.“ — W każdej z kilku prac swoich autor może poruszyć odmienną kwestyę życiową, myśli jego osnuwać mogą wciąż inny wątek, że obrazy wszakże mniej więcej jednym kolorytem zabarwione, z jednych i tych samych zwrotów językowych złożone, jednym stopniem siły nacechowane, czytelnik uważa je za ciąg całości, która go męczy i nudzi.

Oskarżenie o jedostajność tonu, o t. zw. powtarzanie się i brak postępu, przeniesione z łam dorywczego reporterskiego sprawozdania na progi salonów, dotknęło nie tak dawno utalentowaną autorkę wielu noweli i powieści, Ostoję.

Zarzut to najwłaściwszy do zrobienia wobec wybitnej indywidualności piszącej, która nie umie nie być sobą, t. j. nie umie nie odnajdywać w życiu powszednich, szarych, niezmiernie prawdziwych obrazków, na które z kąta gdzieś, zaczajona, zdaje się patrzeć twarz satyra, posępniejąca niekiedy wobec smutków i nędz nieuleczalnych, w korzenie bytu naszego wrosłych.

Że ogółowi naszemu najlepiej dogadza kapryśna twórczość nieokiełznanej przez pęta refleksyi wyobraźni, dowodem tego nieustający popyt na dzieła Maryi Rodziewiczówny, ktorej parę prawdziwie pięknych, na pracy własnych spostrzeżeń opartych obrazków, uszło ogólnej uwadze, skupiając sławę i wziętość dokoła karkołomnych powieści, gradem powikłań dramatycznych zasypanych, żywych, pełnych akcyi, lecz częstokroć tak strasznie nielogicznych, że zdaje się, iż dyktowały je raczej senne mary i widziadła, aniżeli twórczość na jawie.

Ten brak logiki właśnie, te kaprysy nieokiełznanego, nie ujętego w karby woli talentu czynią go miłym szaremu tłumowi, chroniąc autorkę od bolesnego zarzutu powtarzania się, starzenia i wyczerpania.

I dla niej jednak fama stugębna znalazła miecz obosieczny. Jest czytaną, jest rozchwytywaną, kto wszakże głośno i jawnie przyzna się do studyowania prac jej, kto głośno i jawnie wyrazi swoje dla niej uwielbienie? — Chyba zacofaniec z głębokiej prowincyi, który nie wie, że w salonach warszawskich, najniewinniejsze usteczka, drżące ze wzruszenia i ciekawości przy zupełnem sam na sam z utworami wyobraźni autorki, oburzają się na nią głośno, lub wolą raczej skłamać pod grozą najcięższej pokuty, aniżeli wyznać, że czytały „Lwa w sieci“, „Na fali“ lub „Strasznego dziadunia“.

— To takie głupie! — mówią z akompaniamentem lekceważącego ruchu ramion.

O reklamo, jakże wdzięczne mogą być ci nieraz jednostki, które omijasz!

Cecylja Walewska.

LISTY
Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA.

VII.

(Nieco o dekadentyzmie).

Ach czynu i walki nam trzeba!
L. Sowiński.

Gdy myśl narodu wskutek jakichkolwiek bądź przyczyn oderwie się od zagadnień dziejowych, od życia, od czynu, — gdy stłumiona uciskiem politycznym i narodowym, jak u nas, nie może rozprostować skrzydeł swoich do lotu, lub spaczona przez egoizm klasowy, zamknięta w ciasnem kółku potrzeb czy kaprysów indywidualnych unika szerokiego toru postępu, wtedy karłowacieje i dziwaczeje, czepia się drobnostek, które rozdyma jak bańki mydlane, albo zapuszcza się w dziedziny, leżące na pograniczu obłąkania i zabobonu, szuka mądrości magii, tajemnic spirytyzmu, objawienia stołowych nóg...

Ileż to takich baniek mydlanych egoizmu mieszczańskiego dużych i małych wyleciało z krótkowidzącej słomki jego filozofii!

Oto jedna z nich rozdęta pyszałkowato usadawia się na tronie filozoficznym, aby wygłosić światu wielkie objawienie prawdy:

Przebóstwiłem myśl jasną
W niebo, w bezmiar, w byt wszelki,
Wszystkom zamknął w pierś własną...
Mądry jestem i wielki!...
Nadaremnie świat wyje,
Cząstki łaknąc ogromu:
Moją myślą niech żyje!...
Nie dam życia nikomu!...

— To Nietzsche wykrzykuje domyślny czytelnik...

— Przepraszam, nie on sam, tylko jego pierwowzór stworzony przez wieszczą wyobraźnię poety wtedy, kiedy Nietzschemu jeszcze się nie marzyło o tem, że z czasem pójdzie jego śladem; to obłąkany doktór Omega z obrazu dramatycznego L. Sowińskiego, królujący nad swoimi współtowarzyszami nieszczęścia.

Im bardziej treścią życia staje się użycie, tem większa ponęta gości w sercu ludzi, a ambicya, próżność niepomierne każą tłómaczyć ją sobie w sposób dogadzający miłości własnej; jestem za wielki dla tego świata karłów; jego przepisy krępują polot mego ducha, precz z więzami wszelkiemi, precz z moralnością, służalczem widmem niewolnictwa!...

— Człowiek był na początku wielbłądem i dźwigał ciężary, później zostaje lwem i szarpie je, w końcu ma zostać dzieckiem — tak uczy niemiecki apostoł niemoralności.

„Dzieckiem więc ma być człowiek, pragnąc jak dziecko iść za pociągiem swych żądz? Czy po tylu stuleciach cywilizacyi nie czas, aby już urosł na męża?“ zapytuje jeden z naszych krytyków.

„Gdy orzeł wzbija się w błękity, zdaje mu się, że powietrze oporem swym przeszkadza jego polotowi; ale im wyżej się wznosi, im rzadsze otaczają go warstwy, tem trudniej popychają go skrzydła“...

— — — — — — — — — —

„Prawo moralne nie jest różdżką, którą teologia zagraża dojrzałemu dziś, a więc niepotrzebującemu jej człowiekowi, jak powtarza za Schopenhauerem Nietzsche. Jest ono punktem oparcia w życiu praktycznem, a nie tylko nie jest „tyranją,“ ale czyni nas prawdziwie wolnymi tak dalece, że Kant oparł na niem swoj dowód wolności: „powinieneś, więc możesz.“ Kto chce się go pozbyć, łamie główną sprężynę swojej machiny duchowej i cóż dziwnego, że jak ptak raniony wlecze skrzydła po ziemi?

— — — — — — — — — —

„Nie może wielkość jednostki istnieć w oderwaniu od ogółu i niezależnie od moralności, tak jak nie może istnieć słowo, nie wyrażające pojęcia. Jeśli odbierzemy Hektorowi to, że jest „ramieniem Pergaamu“, jeśli wyzujemy go z odwagi, która jest zaletą moralną, cóż zostanie?

---

nów — takie ciepłe i miłe gniazdko, w którem wylękniony i samotny ptaszek spokojnie sobie odpocząć może, prawdziwie wdowia siedziba, w której zawsze te same wspomnienia z ciemnych kątów wyglądają. I było tam tak cicho, tak cicho, że się mimowoli głos przytłumiało, i tak miło, tak błogo, jak kiedy się w czasie burzliwego, deszczowego, jesiennego wieczoru, siedzi przed ogniem, płonącym na kominku. Stara wdowa siedziała na kanapie, po za światłem lampy, które przez czerwony daszek rzucało blask ciemnoczerwony — w rękach miała jakąś robótkę — a nieco dalej, gdzie światło było więcej przytłumione, spostrzegłem, będąc jeszcze w przyległym pokoju, ową młodą dziewczynę, siedzącą w okrągłym fotelu — cichą, z rękami założonemi na kolanach — w czerwonej sukni, o bladej, spokojnej, zamyślonej twarzy i ciemno-blond włosach, które skromnie rozdzielone, odsłaniały niskie czoło. — Ale to, co w dziwnej dokładności teraz widzę, to było owe lękliwe pytanie w tych gorących oczach, ciemnych, a jednak jasnych, w głębi których było więcej myśli niż uczucia, i przypominam sobie jeszcze, że kiedy podaliśmy sobie ręce, to nie wiem dla czego, ale trzymałem jej rękę dłużej, niż zwykle. Teraz rozumiem to i dzisiaj czuję, że coś się odemnie oddziela i nagłym jaśnieje blaskiem, jak przed zabłąkanym niespodzianie światło w ciemności. Jest to pewność, że mnie jednak przez chwilę kobieta kochała, bo wiem teraz — i to lepiej, niż gdyby mi było powiedziane słowami i przysięgą, że owa nieśmiała prośba i drżące pytanie było bolesnem zbudzeniem się miłości. Bo słowa są tylko dźwiękiem, a przysięgi błyszczącemi bańkami mydlannemi, ale spojrzenie oka ludzkiego jest bezpośredniem, niemem wyznaniem duszy i widzialnem uczuciem.

I zdawało mi się, że mam jakieś widzenie i podobnie, jak Saul, zostałem olsniony światłem!

A gdy ostatni czerwony płomień wygasnął na kominku, gdy się zbudziłem w ciemności i na wpół przytomny zapaliłem moją lampę, i gdy ujrzałem szkolne zeszyty oraz całą wieczorną pracę, oczekującą na mnie, to uczułem takie obrzydzenie do tego, że odrzuciłem wszystko; nie mogłem przecież szorstkiemi rękami rozedrzeć powiewnej zasłony, leżącej na mem usposobieniu i na moich myślach. Doznawałem takiego uczucia, tego pamiętnego dnia, jak gdyby było spotkało mię jakieś wielkie szczęście — i było niem też owo zmartwychpowstanie lepszej części mojej całej istoty. Gdy nadszedł czas — a dla mnie nadszedł on prędko — że zgubiłem związek z życiem i gdy ostatnia struna mych nadziei lepszej przyszłości z głuchym jękiem pękła, wtedy nie miałem żadnego innego świata, prócz światu mych wspomnień, i w nim to przeżyłem moje krótkie, nędzne, młodzieńcze życie, a każde małe zdarzenie stawało się czemś błyszcząco-wytwornem, czemś radośniewielkiem, o nadzwyczajnem bogactwie kolorów i obfitości woni. A gdy i to minęło i gdy zimny i nieczuły stałem wobec moich starych wspomnień, i gdy żadne nowe zdarzenia nie dawały mi nowego materyału, wtedy popadłem w to czcze, puste życie, pełne szarych, powszednich myśli i próżnych, powszednich uczuć, jakiemi już żyję od dziesięciu lat i jakiem jutro na nowo żyć zacznę.

Dziś jest dla mnie dzień świąteczny i dla czego nie miałbym go użyć tak dobrze, jak mogę, pomimo, że mam czterdzieści lat i twarz moja pełną jest zmarszczek, a włosy siwieć zaczynają i ludzie szalonym by mnie nazwali, gdyby o tem wiedzieli. Co się ze mną stało, nie jest przecież niczem innem jak to, co się dzieje z tym lub owym starym, spustoszałym krzewem, który stoi na słonecznej stronie, i późną jesienią wypuszcza pewnego dnia pączki, które więdną następnej nocy.“

Twój przyjaciel *,*

Siła mięśni i zręczność. Bohater został zdegradowany na atletę cyrkowego...“*)

I tu znowu przypominają się słowa wieszcza poety z przed kilkudziesięciu laty, zdawałoby się wymierzone przeciw dzisiejszym apostołom arystokratyzmu ducha i filozofii użycia:

Nędzarze biedni z niesytym okiem
Za trochę ziarna w piasku i błocie
Żądacie paść się dymów obłokiem
Nurzać się w hołdach, pieśniach i złocie...

A, gdy te pretensyonalne roszczenia do hołdów i materyalnych korzyści nie zostaną zadowolone,

Gdy lud zważywszy wasze rozumy
I strupieszałej piersi popioły,
Odepchnie próżne roszczenia dumy,
Wy, jak strącone rycząc anioły,
Ciskacie gromy na ciemne tłumy
I znieważacie myśli kościoły?...
Czemuż tej ciżbie służyć nie chcecie,
Kiedy przewodzić jej nie umiecie!?...

Czy nie zdaje się, że wiersze te skierowane są przeciwko owym Bourgetom, którzy wciąż deklamują o wrogiem usposobieniu tłumów?

Czy nie przypomina się nam przytem owo „jądro baszkirów wyzutych z wszelkich wstrętów moralnych“ chodowanych gdzieś w głębi Azyi na postrach tego ludu, o którem mówi francuzki nauczyciel Nietzschego?

Drugą ponuro zabarwioną, ale również pozbawioną treści rzeczywistej bańką mydlaną egoizmu jest strach śmierci i lubowanie się w jego analizie, o którym już miałem sposobność wspomnieć w jednym z poprzedzających listów.

Dość jest przypomnieć, jak znaczące miejsce zajmuje śmierć w pismach filozofów i moralistów cesarstwa rzymskiego, aby się przekonać, że ta obawa śmierci, że lubowanie się w jej przedstawianiu, wyrozumowywaniu i zwalczaniu jest jednym z symptomatów choroby społecznej, która nosi miano dekadentyzmu.

Jest to psychologicznie zupełnie zrozumiałe: gdy człowiek wszystko skupi w sobie, szuka szczęścia, zadowolenia, rozkoszy tylko w sobie i dla siebie, po za tem nic nie chcąc wiedzieć, gdy pragnie z życia zrobić ustawiczne święto i nieprzerywającą się zabawę, myśl o tej śmierci, która raptem przerywa brutalną ręką ów „wesoły szpaler życia“ musi napełniać drżeniem . . .

Człowiek, który poczuwa się do obowiązków społecznych, pragnie coś zrobić dla innych jest spokojny względem śmierci:

*) Dekadentyzm współczesnny przez W. M. Kozłowskiego. Str. 38 i przypisek str. 37

— I cóż, że przyjdzie, skoro robiłem i zrobiłem swoje? Cóż że odejdę, skoro ślad po mnie zostanie?...

Ale dla schyłkowca, który jest tylko przyjemnem dla siebie zerem, przerwa przyjemnego istnienia znosi zarazem całą seryę jego życia, cóż dziwnego, że stara się sobie wyrozumować tę śmierć, pozbawiającą jego życie wszelkiej logiki: cóż dziwnego, że w najrozmaitszy sposób stara się do niej przyzwyczaić, jak tchórzliwi ludzie stopniowo przyzwyczajają ciało do zimnej wody, lub nawet w końcu znajduje pewną ostrą przyjemność w tych dreszczach, jak dzieci słuchające bajek o upiorach.

W ostatnim zeszycie B i b l i o t e k i w a r s z a w s k i e j (Maj 1894) znajdujemy właśnie nadzwyczajnie ciekawy przyczynek do wyświetlenia usposobienia, które można nazwać schyłkowem, w epoce Nerona. Jest to artykuł pana K. Morawskiego o romansie obyczajowym rzymskim, napisanym przez Petroniusa Arbitra, a znanym dotychczas z niewielu urywków, do których poszukiwania najnowsze dodały znaczne i bardzo cenne ustępy.

Treść romansu stanowią przygody kilku przedstawicieli bogaczów — parweniuszów — wyzwoleńców rzymskich oraz ich służalczego otoczenia, skreślone realistycznie i z tym pół uśmiechem, z jakim człowiek dobrego smaku mówi o ludziach pozujących na przedstawicieli lepszego towarzystwa.

Przedewszystkiem charakterystyczną jest owa pseudo-estetyczność panosząca się w tem upadającem społeczeństwie, wystawiająca najwyższy i jedyny probierz wartości — konwenansową miarę „dobrego smaku,“ którego wcale nie powinniśmy mieszać z pięknem.

Sam Neron jest najbardziej typowym pseudoestetykiem, dyletantem. „Wszystko on wyzyskiwa na korzyść nienasyconej swej ciekawości i zużytej wrażliwości. Służą do tego i szały pospólstwa i męczarnie bliźniego, służy nauka i sztuka, która schodzi na stanowisko królewskiego trefnisia czy błazna, wielkiej ochrony i obrony przed straszną próżnią i nudą.“

Jakże ten stosunek do sztuki i wiedzy przypomina współczesnych schyłkowców, których usposobienie znalazło odgłos w niektórych szkołach krytyki! Nie inaczej traktowano wiedzę w starożytności:

„Filozofów, powiada Tacyt, przypuszczał (Neron) do siebie po uczcie, aby spory ich i kłótnie były dlań rozrywką“....

„Jest on estetykiem i tylko estetykiem, a idzie w tym kierunku tak daleko, że ofiary katuszy mają mu się grupować według arcydzieł sztuki, że Rzym gorejący budzi w nim literackie wspomnienia i przynosi natchnienia poetyczne“.

Ten sam typ umysłowości zdradza i autor romansu, tylko umysł to zapewne głębszy, a jak można przypuszczać z zestawienia imion, jest jednym z tych, według których przez szereg lat wzorował się Neron.

Mamy tu zupełną próżnię moralną, brak wszelkich zasad i wartości. Życie nie ma żadnej ceny: wszystko jest marnością — V a n i t a s v a n i t a t u m. „A obok tej próżni występuje tu znów cała pełnia estetycznego i literackiego wykształcenia, dobry smak wyrafinowany, objawiający się w uśmiechu autora, który zawisł nad dziełem, kiedy opisuje rozkosze i uciechy niedosyć wykwintnych ludzi, głębokie zrozumienie literatury i sztuki, jej błędów i jej upadków.“

Najbardziej charakterystycznym ustępem powieści jest opis uczty Trimalchiona — bogatego i brutalnego wyzwoleńca, zakończonej następującą sceną:

Trymalchion upojony winem i nastrojony lirycznie, każe przynieść swe szaty, przygotowane na śmiertelne ubranie, wsparty na poduszkach kładzie się jak umarły i każe grać żałobne melodye.

Takie zakończenie uczty nie było pojedyńczym wybrykiem bohatera powieści Petroniusza. Seneka opowiada nam o pewnym senatorze — mówi p. K. M., — który po każdej uczcie wśród śpiewów żałobnych przez niewolników do sypialni wynosić się kazał i odurzał się do reszty tą grobową maskaradą“. Pliniusz zaś sławi wyższość człowieka nad bogami, polegającą na tem, że może wśród smutków życie sobie odebrać.

— — — — — — — — — — —

Zbyt rozciągnąłby się ten list gdybym wyczerpać chciał w nim wszystkie bańki mydlane mieszczańskiego egoizmu! jest wśród nich zwłaszcza jedna, która zasługuje na dłuższe zastanowienie się i oddawna leży mi na sercu: mam tu na myśli położenie kobiety i stosunek do niej schyłkowców. O tem w przyszłym liście. *Dzwon.*

Szkoła i wychowanie.

E pur si muove.

(Odpowiedź „Gońcowi Wielkopolskiemu“ na jego „Pessymizm w „Przeglądzie Pozn.“)

II.

Pan Poraj w swym długim, bo cztery łamy obejmującym wywodzie, poświęconym rozbiorow mojego artykułu, stara się osłabić siłę moich,

7)

Nowocześni pogromcy narodu polskiego

i jego przeszłości w literaturze historycznej.

(Ciąg dalszy.)

Głodzono ich z żonami i dziećmi, a w końcu prowadzono do rzeki, grożąc topieniem wszystkich w razie odmowy przyjęcia chrztu prawosławnego. Po wymuszeniu zgody na chrzest kazano im pisać do cara formalne prośby i dobrowolne z ich strony żądania wyrzeczenia się religii katolickiej*) Wten to sposób postępowano z katolickiego to rodzaju było „ciążenie“ ziem ruskich ku Moskwie. — Cóż powiedzieć o środkach używanych w państwie rosyjskiem dla wytępienia „raskołu“ we wszelkich jego postaciach. Rozkolnicy męczeni i tyranizowani na wszelki możliwy sposób uciekali ztamtąd tłumami, gdzie tylko mogli. Za czasów jeszcze Elżbiety Piotrownej wydawane na nich wyroki ujęte były stale w jedną formułę: „bit' knutem, a wyrw nozdri i jazyk, sosłat' w Sibir na wiecznoje posielenje.“ Uciekali oni w ziemiach podówczas zabranych, z instancyj zaś wnoszonych do dekszy przez mieszczan Smoleńskich**) można się dowiedzieć ja-

*) L. c. str. 130.
**) L. c. str. 11

oni w najodleglejsze miejsca na północy, osiedlając się w takowych lecz i tam nieznaleźli spokoju, wysyłano bowiem oddziały wojsk na ich ujęcie, za zbliżeniem się których starowiercy zgromadzali się w swej drewnianej cerkwi i podpalając takową, woleli ginąć wśród modłów w płomieniach, niżeli oddawać się w ręce swych okrutnych siepaczów.*)

Gdybyśmy chcieli wyliczać wszystkie gwałty zadane w innych krajach wolności sumienia, nie starczyłoby tomów na ich opisanie. Czynić tego nie myślimy; idzie nam tylko o przypomnienie, że inne państwa, dopuszczając się najsurowszej i najokropniejszej nietolerancyi, bynajmniej nie poginęły, lecz istnieją do dziś dnia. Polsce wyrzucają fanatyzm i prześladowania, gdy rzekomy w niej ucisk religijny był zaledwie maluczkim cieniem tego, co działo się nieomal we wszystkich krajach Europy, zapominając o tem, że w czasach, w których zasada: „c u j u s r e g i o, e j u s e t r e l i g i o“ zastosowaną była powszechnie na całym świecie, niepodobna było nawet wymagać, aby pewien odcień tej zasady nie uwydatnił się w Polsce.

Zasada ta przecież do dziś dnia utrzymuje się jeszcze w Rosyi i nie prędko jeszcze nastąpią może czasy, w których zasada owa stanowczo zostanie tam usuniętą. Odcień niechęci przeciwko obcym religiom jaki dawał się widzieć w Polsce, przez nieprzyjaznych jej obcych i domowych historyków został w śmieszny sposób podniesiony do nad-

*) O prześladowaniach tych są zajmujące monografie pisarzów rosyjskich. Pomiędzy innemi pisał o tym przedmiocie Siemiowskij, krórego monografia o „S a m o s o ż y g a t i e l a c h“ drukowaną była w swoim czasie w miesięczniku „O t i e c z e s t w i e n n y j a Z a p i s k i“. Nie mając pod rękę czasopisma, o którem mowa, nie możemy powołać się na rok i zeszyt, nie wiemy zaś, czy ta praca wyszła oddzielnie.

zarzutów przez to, iż półtora łama poświęca wybieraniu tych wszystkich okoliczności, które zdaniem jego, powstrzymywały normalność umysłowego rozwoju u nas, i z pominięcia ich konstruuje przeciwko mnie zarzut stronniczości.

Uchylać się od odpowiedzialności przez zwalanie winy nie na nas samych, ale na stosunki i okoliczności po za nami stojące i od nas niezależne, to metoda znana i często, aż nazbyt niestety często, u nas praktykowana, ale, jak w innych razach, tak i w tym razie niczego niedowodząca. Jeżeli bowiem niepokoje, odwrócenie uwagi wyłącznie w stronę spraw politycznych mają ten wpływ niefortunny na rozwój umysłowości, jaki im przypisuje p. Poraj, to skądżeż pochodzi, iż właśnie w czasach najburzliwszych, w latach 1820—1863, staliśmy na duchowej wysokości reszty społeczeństw cywilizowanego świata, jak tego dowodzą imiona Działyńskich, Raczyńskich, Libeltów, Trentowskich, Cieszkowskich, Marcinkowskich, Łukaszewiczów i innych, imiona, które nietylko w ciasnych granicach wielkopolskiej ziemi, ale i za granicą kraju w świecie wykształconym miały swoje dobre brzmienie?

I dla czego dzisiaj, kiedy ustał niepokój wewnętrzny, jaki trawił ówczesne społeczeństwo, kiedy minęła gorączka rewolucyjna i o nowych buntach nie myślą już nawet i najśmielsi fantaści, kiedy jednem słowem w myśl wywodów pana Poraja najpomyślniejsze warunki umysłowego rozwoju są nam dane, dla czego dzisiaj niema mężów, którychbyśmy obok onych dawniejszych przedstawicieli wielkopolskiej umysłowości godnie stawić mogli? Boć przecie chyba naszych Dobrowolskich, Łebińskich, Czartoryskich, i jak się tam zresztą nazywają nasi najgłośniejsi przedstawiciele duchowi dzisiejszego pokolenia, nawet sam p. Poraj nie będzie chciał w jednym z nimi stawić rzędzie. I pytam dalej: jeżeli stosunki wewnętrzne na rozwój umysłowy mają wpływ tak decydujący, to skądże to dziwne zjawisko, iż w Królestwie, gdzie młodzieniec tysiączne przełamywać musi trudności, zanim mu wogóle do przybytku wyższej wiedzy uchylą się wrota, że tam wre i kipi ruch umysłowy na wszelkich polach duchowej działalności, a cisza cmentarna zalega u nas, i pole umysłowości, niegdyś tak bujnie uprawne, ostem coraz więcej zachodzi i pokrzywą?

Odpowiedź na te pytania nie jest tak trudną, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Otóż w Warszawie i Kongresówce po onych strasznych doświadczeniach z lat 1863 i 1864 znalazło się grono mężów, silnych wiarą i gorącą miłością do swego kraju, którzy z zapałem, entuzyastom właściwym, zwątpiałemu społeczeństwu, miasto onych rozpaczliwych, a napróżno wylanemi strumieniami krwi najszlachetniejszej i zgliszczami popalanych osad zbyt drogo okupionych wysiłków zrzucenia jarzma niewoli mocą oręża, w dążeniu do wyższej wiedzy wskazali nowe ideały. I głos ich nie przebrzmiał napróżno; żnękane cierpieniami fizycznemi i męką duchową społeczeństwo zakordonowe zrozumiało znaczenie wiedzy jako jedynie skutecznego środka obrony w czasach dzisiejszych, jako potężnej dźwigni wyższej oświaty i wyższego umoralnienia i pomimo ciężkich warunków bytu, pomimo utrudnień, stawianych z umysłu przez rząd rosyjski w tym właśnie kierunku wzięło się z zapałem do nauki.

U nas były także czasy gdzieśmy się znali na wartości nauki, i te to właśnie czasy wydały nam naszych Libeltów, Cieszkowskich, Marcinkowskich. Ale w tych właśnie latach, kiedy Kongresówka z zapałem rwać się poczęła do źródła nowego życia, do nas trupicielizną powiało od Zachodu. W sferach naszej arystokracyi aklimatyzować się począł on duch, który zrodzony w kołach francuskiego i włoskiego legitimizmu, na zdziczałej glebie galicyjskiej oblekł się w ciało-stańczykowstwo, na naszej Wielkopolskiej niwie zaś wystąpił, jako koźmianizm i stagraczynizm. **Ducha tego wybitnem znamieniem jest wiara w boski początek feudalnego ustroju społeczeństwa ludzkiego i boskie posłannictwo szlachty w śród niego, wiary tej logicznem następstwem jest pogarda dla nowoczesnej wiedzy i nienawiść do niej.** Pod pozorem obrony interesów najwyższych, a może i w dobrej wierze, bo wina przychodzi sama przez się, gdy się fakt jakiś ulubiony, jakąś myśl ulubioną, lub pragnienie jakieś, dzień w dzień powtarza przez lat dziesiątki, nasze torysy radziby najchętniej unicestwić nasz dorobek cywilizacyjny ostatnich stu lat i zaśrubować poziom umysłowy naszego społeczeństwa na tem stanowisku, na jakiem stało w onej przedrewolucyjnej epoce, kiedy to bez dysput i burzliwych nieraz zebrań trzodą bezmyślną dwunogich przedstawicieli gatunku „homo“ rządziło się tak wygodnie. Ponieważ w praktyce odrazu przeprowadzić się to nie daje, ponieważ świadomość wartości praw nabytych stała się częścią integralną poczucia mas ludowych, przeto manewrują z boku i w oczach ludu starają się zohydzić najważniejszy czynnik i wewnętrzną sprężynę nowoczesnego postępu, nowoczesną wiedzę i naukę, jako dzieło szatana i wykwit ducha rewolucyjnego. **Idyotyczne mielenia językiem na wiedzę i naukę stało się też stałym rekwizytem polemicznego, arsenału naszych białych dekadentów.** A jak pewni są swego, jak dalece udało im się już ogłupić i znieczulić na godność własną masy naszego społeczeństwa, dowodem na to bezceremonialność, z jaką na ostatnim wiecu polsko-katolickim w Poznaniu hr. Kwilecki wśród poklasku tychże mas mógł wygłosić zdanie, iż największym wrogiem ludności polsko-katolickiej — to cały nowoczesny ruch umysłowy podszywający się pod hasła: postęp, oświata, równość, nauka, i krwawe urągowiska, jakiemi tymże masom ludowym cisnąć mógł w oczy hr. Józef Mycielski, dowodząc, „iż patryotyzm jedynie szlachta z łaski Bożej odziedziczyła po przodkach i że mieszczaństwu trudniej, niż innym wznieść się do ideału pełnej zaparcia samego siebie pracy dla narodu.“

Niestety, te nieprzyjazne dążnościom do wyższej wiedzy teorye padają w kołach naszej młodzieży klas wyższych na grunt aż nazbyt żyzny. **Albowiem i bez tego, wewnętrznego poczucia ważności nauki i potrzeby nauki w tych kołach, w ogólności mówiąc i nie przecząc, iż i ta reguła ma swoje liczne wyjątki, nigdy nie było i nigdy nie będzie.** To niechaj mi wierzy p. Poraj na gołosłowne zapewnienie, jako człowiekowi, który był nauczycielem domowym przez lat kilka, a i później przez rodzaj swego zajęcia nie stracił nigdy styczności z uczącą się młodzieżą. To poczucie nie może się też rozwinąć w bezdennej atmosferze naszych salonów, gdzie powierzchowna znajomość form towarzyskich, nieskazitelność rękawiczek, z jakie półtuzina oklepanych komunałów i tyleż modnych bons mots wystarczy najkompletniej, aby młodemu człowiekowi zapewnić sukces zupełny. Nie może zaś tem więcej, iż wychowanie synów naszych mniejszych warstw cierpi prócz tego — zbyt często od najwcześniejszego dzieciństwa na jeden jeszcze błąd, o którym nie wspominałem w moim pierwszym artykule, t. j. na rozwinięcie zbyt wczesnej dojrzałości towarzyskiej: Ten błąd fatalny jest wytworem sztucznym i zasługa wątpliwa jego wyhodowania zazwyczaj matce się należy, której serce topnieje z radości, gdy synek, zaledwie otrzymawszy promocyę kwestye najsubtelniejsze, tajemnice salonowych konwenansów zna na palcach i na pierwszy rzut oka ocenić umie, ile podług taksy salonowych przepisów wart jest ukłon pana X., a ile ukłon pana Y. Nie byłoby w tem może nic niebezpiecznego, gdyby ta wczesna tresura

---

zwyczajnej potęgi i przedstawiony po prostu w świetle niesłychanych nadużyć, które w istocie redukują się do drobnostek. Po najskrupulatniejszym przetrząśnieniu kronik i wszelkich innych dokumentów przez szperaczy poszukujących namiętnie wszelkich ujemnych stron życia społecznego w Polsce okazało się, iż przez cały czas istnienia Polski wydano w niej zaledwie około dziesięciu wyroków śmierci w sprawach religii, licząc w to sprawę Łyszczyńskiego i rajców toruńskich. Wywołano prócz tego z kraju jedną sektę (w liczbie 500 rodzin), której przeciwnikami byli nie sami tylko katolicy, lecz i wszyscy inni dyssydenci, upatrując w niej „bluznierców przeciwko Chrystusowi.“ Oto prawie wszystko co można nazwać w Polsce prześladowaniem religiinem, dokonywanem przez pańszczyznę t. j. przez Rzeczpospolitą, lub w jej imieniu.

Dalecy jesteśmy od zaprzeczenia zkądinąd bardzo rzadkich faktów nadużyć popełnionych przez pojedyńcze osoby w stosunkach z wyznawcami obcej wiary. Ślady tych nadużyć są zaznaczone u współczesnych historyków krajowych w sposób nader pobieżny, mimochodem, co już samo dowodzi, iż nie były one wypadkami ani powszechnemi, ani też nie stanowiły zdarzeń tak doniosłego charakteru, jaki im dziś usiłują przypisać historycy rosyjscy. O takich nadużyciach w rodzaju oddawania w pojedyńczych miejscach na Ukrainie cerkwi prawosławnych z jej dochodami w dzierżawę, czytać można np. w Grądskim.*) Były wypadki pojedyńcze, że szlachcic katolik nie zwalniał od pańszczyzny miejscowego dyzunickiego popa, jeżeli takowy należał do liczby poddanych jego wsi, jak niemniej, że szlachcic rusin, przyjąwszy unię lub katolicyzm, wprowadzał do miejscowej cerkwi obrzędy swego nowego wyznania, usuwając z niej dyzunickiego popa. Przeczyć tym nadużyciom żaden z polskich historyków nigdy nie myślał, utrzymał się atoli w całem społeczeństwie polskiem pogląd niezmiernie sprawiedliwy i słuszny, iż pojedyńcze te nadużycia nigdy nie były wypływem działania ogółu sił społecznych, skierowanych pod wodzą rządu zbiorowo przeciwko innowiercom, jak to się działo w innych krajach, a w tej okoliczności właśnie tkwi cała ogromnie doniosła różnica waśni religijnych w Polsce z walkami religijnemi w innych krajach.

Waśnie religijne w kraju naszym pomiędzy dyzunią z jednej a unią lub katolicyzmem z drugiej strony były wypływem swobody przekonań — swobody istnienia w jednym kraju, dwóch nieprzyjaznych sobie wyznań, z których mniej silnemu i mniej zasobnemu w potęgę środków do panowania nad masami, nigdy niezaprzeczano zasadniczych praw bytu. W walkach religijnych innych krajów zgodne pod wodzą rządu siły państwowe użyte były do eksterminacyi tych żywiołów religijnych, które niechciały ulegać przymusowi państwowemu. W Polsce były tylko niesnaski wyznaniowe, wszędzie gdzieindziej prześladowania w właściwem znaczeniu tego wyrazu.

Prawdy tej istotnej, przeglądającej wyraźnie z dziejów Polski, pisarze rosyjscy nie zrozumieją dopóty, dopóki będą kroczyć śladami Ustriałowa. Może wreszcie rozumieją tę prawdę, podobnie jak Ustriałow rozumiał dobrze, że fałszuje dzieje, lecz rozmyślnie nie chcą tego wypowiedzieć.

Możnaż na seryo mówić, że unia religijna zaprowadzoną została w Polsce przymusem, skoro Rzeczpospolita nie miała ani wojsk stałych do zmuszania ludności, ani urzędników administracyjno-policyjnych, ani systematu więziennego, ani trybunałów inkwizycyjnych, ani żadnych do ujarzmiania ludności środków podobnych tym, jakie wynalezione zostały przez obce państwa? Czy ogłaszano tam kiedykolwiek, że dyzunia nie istnieje i nie może istnieć, w podobny sposób jak to zrobiono w bieżącem stuleciu w Rosyi z unią? Czy otaczano tam dyzunitów wojskiem i strzelano do nich? Czy zmuszał ich kto do podawania próśb o przyjęcie unii lub katolicyzmu? Czy wytaczano im procesy sądowe o trzymanie się wiary swych ojców, na podobień-

*) Grondski. Historia belli cosaco-polonici. Pestini. 1789.

do popisów w salonowym manężu nie ścierała bezpowrotnie z duszy chłopca delikatnego puszku dziecięcości i nie prowadziła go w dalszem następstwie do rychłego zblazowania. Na tej bowiem podstawie rozwijając się dalej, chłopak swemi towarzyskiemi pretensyami zawsze wiek swój uprzedza, i gdy jest w tercyi, nie o pokonaniu trudności greckiej deklinacyi, ale o flintce, psach i konikach wyłącznie myśli, gdy jest w sekundzie ma maniery i aspiracye abituryenta, a gdy do prymy się przepchnie, jużby właściwie powinien mieć własne konie, powóz, stangreta i — last not — kochankę w odwodzie.

Ta to niezgodność wewnętrznych aspiracyi i zewnętrznego położenia bardzo często przyczynia się niemało do sparaliżowania postępów w szkole u młodzieńcu naszych sfer wyższych. W późniejszem zaś życiu paraliżuje dalszy rozwój nawet takich, którzy kończą studya uniwersyteckie i rzeczywiście zdają się rokować lepsze nadzieje, brak podniety do dalszego kształcenia się ze strony naszego społeczeństwa a przedewszystkiem demoralizujący wpływ naszej prasy. . . .

Tak, panie Poraju! Nie zawiodło cię ucho twoje i nie jest to z mej strony żaden lapsus linguae; powtarzam i piszę wyraźnie: b r a k p o d n i e t y z e s t r o n y n a s z e g o s p o ł e c z e ń s t w a, a p r z e d e w s z y s t k i e m d e m o r a l i z u j ą c y w p ł y w n a s z e j p r a s y.

Gdzie indziej bowiem, w społeczeństwach wyżej oświeconych i politycznie więcej dojrzałych, mówcę, któryby śmiał swoim słuchaczom podać takie samelsurium najbanalniejszych frazesów i przyszytych do nich ni w pięć ni w dziewięć, — tak tylko dla pokazania swej erudycyi — cytat, jak na ostatnim wiecu hr. Mycielski i ks. Czartoryski, wygwizdanoby i obrzucono zgniłemi jabłkami jako niewczesnego dowcipnisia, który mając mówić poważnie o rzeczach poważnych, zadrwił sobie z publiczności. Ale też gdzieindziej młodzieniec, chcący odegrać publiczną rolę, w twardej pracy i wyczerpującej walce zdobywać sobie wprzód musi uznanie swych ziomków. U nas natomiast sięgającemu po laury oratorskie młodzieńcowi takich korowodów się nie robi, bo u nas nie zważa się na to, c o ktoś mówi, tylko k t o mówi. Od młodzieńca też, pragnącego wyrobić się na męża stanu, nie wymaga się u nas więcej jak tylko, aby dla przezwyciężenia obawy pierwszego występu przyniósł ze sobą wystarczającą dozę pewności siebie i język dość biegły, iżby te wszystkie frazesy i banalności, które już to nawiną mu się same już też podsunięte mu zostaną przez prasę, poszywać gładko w rodzaj oratorskiej stebnówki. A mechno nowy demostenes, będzie w dodatku bene natus et possessionatus, natychmiast nasi lewici, obracający różny swoje przy ołtarzach opinii publicznej, z arcykapłanem i patryarchą politycznej blagi, panem Dobrowolskim na czele, z pieniem i bogochwalnemi pląsy wychodzą oddać pokłon nowemu bóstwu, stawiają mu ołtarze a mirrę i kadzidło niosą mu w ofierze, — złota niestety zazwyczaj nie mają, — i na cytrze i na lutni i na fletni i na cymbale i na wszelkich instrumentach, które wylicza psalmista, głoszą chwałę jego wszemu ludowi. Co za dziw, iż odurzonemu tym korybantycznym zgiełkiem kandydatowi do poselskich i senatorskich zaszczytów zawraca się od razu w jego młodym mózgu, i że dorobiwszy się tym łatwym sposobem rozgłosu, woli odtąd deklamować niż pracować, a w końcu marnieje pod względem inteligencyi i charakteru zawodzi nadzieje, jakie w nim słusznie można było pokładać.

Romuald Lazega.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z WYSTAWY

I.

Zabierając się do listów z wystawy jedną tylko miałem rzecz na myśli: oto, żeby te sprawozdania były jak najuczciwsze. To znaczy, abym dał czytelnikom wiadomości prawdziwe i bezstronne. Zdawałoby sie, że nic nad to prostszego, że trzeba tylko wyrozumieć kompetentnych sędziów, rozpatrzeć się dokładnie w wystawie, a już bezstronna prawda sama się z tego wydźwignie.

I pierwszym krokiem moim na tem polu, po kilkakrotnym zwiedzeniu wystawy, było rozejrzenie się w opiniach prasy. Zacząłem od numerów z dnia otwarcia — „wiary pełen i nadziei“ — i natrafiłem na pewien ciekawy szkopuł, którym na wstępie dzielę się z czytelnikiem. Wszak co do wystawy, jej znaczenia i zadań panuje u nas jednozgodność, wszyscy ją kochamy wprost i uważamy ją za święto narodowe?

Istotnie: wszystkie pisma z pierwszych dni Czerwca zamieściły jednozgodnie brzmiące telegramy — zwłaszcza czas i porządek uroczystego obchodu podany był wszędzie, że tak powiem jednomyślnie,

„Dzien ten tak uroczysty i t. d.“

„W tym dniu tak doniosłym i t. d.“

„Chwile te należeć będą i t. d.“...

To wszystko całkiem zgodne i jednobrzmiące we wszystkich pismach. Ale oto, pominąwszy nagłówki i godziny obchodu, pominąwszy zawsze jednaki dźwięk fanfary reporterskiej, pominąwszy wreszcie wyrazy tego, co nazwać by można w ogóle pompą nastroju jubileuszowo-uroczystościowego, przejdźmy do rzeczy pochwytniejszych, dających się cytować i streszczać.

„Czas“ krakowski pisze:

„Wczorajsza uroczystość otwarcia wystawy była świetną w formie, podniosłą w treści“... „Uroczystość ta była przedziwnie piękną uroczystością“. I mówił jeszcze:

„Jak wielka Monarsze i dynastyi należy się wdzięczność za ten rozwój dowodzą dzieje najnowsze; dowodzi ten kojący wpływ uroku panującego domu, przed którego reprezentantem stajemy w zgodnych szeregach przejęci dynastyczną wdzięcznością“... Tak świetnie w formie i podniośle w treści przemawiał „Czas“.

„Nowa Reforma“ mówi:

„Radosnym nietylko dla Lwowa, ale dla kraju całego jest dzień otwarcia wystawy“. I dalej wyraża nadzieję, że „wystawa przekona obce kapitały, że włożony u nas grosz sowicie opłacać się może“, że dalej „przekona ona obce kapitały, iż mogą być produkcyjnie, a korzystnie w naszym kraju użyte.“

Prócz tego zamieściła „Reforma“ wizerunki zapomnianych przez „Czas“ pp. Marchwickiego i księcia Sapiehy

„Gazeta Lwowska“ wypełnia cały numer opisami wystawy, i zdobi go bardzo pięknie portretem arcyksięcia Karola Ludwika. Dalej bardzo chętnie mówi o innych“, o tem, że my niby się nie chwalimy, ale jednak na wystawie „Czujesz, że jesteś w Eurppie“.

„Świat“ wreszcie zamieszcza piękne okresy w stylu następującego: „Nasza wystawa — to n a d e w s z y s t k o spokojny i poważny, lecz tą właśnie powagą potężny protest przeciw wszelkim wrogim Polsce opiniom“. Ktoś inny znów woła, że wystawa daje „wszechstronny i wyczerpujący obraz naszych dobytków.“

Dość na tem: chciałem być „wszechstronnym i wyczerpującym“ i chciełem zacytować jeszcze głosy prasy warszawskiej — tam jednak jedynym „dobytkiem“ było wówczas głuche milczenie...

Sądzę, że czytelnik z łatwością odgaduje o jakim szkopule mówiłem! była nim stara szablonowa prawda, że niema żadnej prawdy bezstronnej, że każde oko ma swego zeza, co ła-

---

stwo procesów wytaczanych dziś w Królestwie Polskiem unitom, odmawiającym posłuszeństwa księżom prawosławnym?

Nikt uie zaprzeczy, że Jezuici w Polsce wiele mogli przyczynić się do zaprowadzenia unii obojga wyznań, jakąż jednak bronią ku temu się posługiwali? — Oczywiście namową i jedną tylko namową. Była to propaganda katolicyzmu, przeciwko której cerkiew wschodnia nie mogła stawić oporu moralnego, gdyż była duchowo za słabą, katolicyzm bowiem reprezentował zarazem oświatę i cywilizacyę Zachodu, gdy duchowieństwo cerkiewne w największej liczbie swych przedstawicieli składało się z ludzi ciemnych, pogrążonych w nieuctwie i zaledwie czytać umiejących. Możnaż się dziwić, że wyższe klasy społeczne w Polsce patrzały na to duchowieństo z pewnym odcieniem pogardy, skoro dziś jeszcze w głębi Rosyi, w stronach moskiewskich tameczne społeczeństwo pogardza popami i całym stanem duchownym, a tak zwani „seminarzyści“*) nie radzi są w towarzystwie przyznawać się do swego pochodzenia.

W sporze pomiędzy unią a dyzunią na korzyść ostatnej działała przewaga kultury. Wyższe klasy narodu śpieszyły dobrowolnie do unii, a ciemny lud nie rozumiał nawet różnicy pomiędzy jednem wyznaniem a drugiem, o ile w danej miejscowości nie był podbudzony agitacyą duchownych dyzunickich. Ci ostatni, widząc, że tracą z dniem każdym swój wpływ i owczarnię, z głównego ogniska swego, jakim był Kijów, podniecali za pośrednictwem Kozaków nieraz rzezie, w których stronę uciemiężoną i zgnębioną była unia.

Znakomity badacz tych stosunków, który je ocenił na podstawie świadectw historycznych zarówno Polskich, jak i ruskich, tak określa je pomiędzy innemi**) w słowach wprawdzie namiętnych, lecz zawierających sąd najzupełniej sprawiedliwy:

„Narzucono w Polsce Rusi wiarę, mówią fałszerze naszej historyi, Moskale. A sama Ruś przecie cierpiała za tę nową wiarę, za tę unię mordowała ją dzika Moskwa, ilekroć razy posuwała się w granice Polskie, zabijała ją ciągle schizma przez ajentów swoich z Kijowa; męczyło ją ciągle hajdamactwo kozackie, a ileż to razy zerwało się z orężem w ręku, żeby odzyskać prawo do swawoli, kozactwo bez wiary, krzyczące na ucisk religijny, oszołomione przez takich Boreckich i Mohiłów.“

Podczas gdy duchownym dyzunickim szło o zgnębienie unii za pośrednictwem kozaków, tym ostatnim znowu najmniej chodziło o jakąkolwiek religię. Według świadectwa jednego z Rusinów, metropolity unickiego Rutskiego (1622): „Prawie wszyscy kozacy nie wierzą w Boga i nie dbają o wiarę, jak i dawniej nigdy o nią nie dbali. Dopiero od dwóch lat zaczęli parać się sprawami kościelnemi, gdy nowo ustanowione duchowieństwo greckie pobudziło ich k'temu.“*) Chodziło im tylko o łupież i grabież, a w napadach swoich nieprzepuszczali cerkwi bez złupienia, zarówno jak i kościoła.

Nowoczesny sumienny i gruntowny znawca dziejów Ukrainy, badający te dzieje z zamiłowaniem na podstawie źródeł archiwalnych i rękopiśmiennych tak się wyraża w jednem z dzieł swoich o napadach i rzeziach Zaporożców:**).

„Historyografowie przeciwnego obozu spychają przyczynę tych nieustannych napadów na prześladowania religijne, podnosząc do wy-

---

*) Tak nazywają w Rosyi synów tamecznych księży, którzy po ukończeniu seminaryum duchownego lub akademii, zamiast zostać księżmi obierają sobie w życiu inny jaki zawód.

**) I Bartoszewicz. Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce. Kraków 1880 str. 200.

*) Porów. K. Szajnochy. Dwa lata dziejów naszych. W ogólnym zbiorze jego dzieł. Warsz. 1877 VIII. stc. 193

**) Dr. Antoni J. Zameczki podolskie na kresach multańskich. Kraków 1880. I. str. 202 i nast.

skawie nazywamy w mowie zwykłej — zezem lub pryzmatem przez który patrzymy. O pryzmat ów właśnie chodzi.

„Czas“ patrząc na wystawę przez pryzmat podniosłego w treści, „stanu dynastycznego“ inaczej ją widzi niż „Nowa Reforma“.

Niby mała rzecz — ten czy inny portret na czele numeru — a jednak całkiem odmiennym jest widok „Gazety Lwowskiej“ z arcyksięciem i „Reformy“ z p. Marchwickim. Inaczej wygląda wystawa w świetle „protestowania przedewszystkiem“ wobec obcych potencyi — inaczej w świetle troski o napływ „obcych kapitałów.“ — A jeśli czasem w tych arabeskach dodatkowych zniknie rzecz sama, jeśli w umyśle czytelnika odbicie jej splącze się z marką fabryczną tej, czy innej destylarni opinii publicznej, toż to rzecz taka ludzka, zwyczajna!

Darować mi proszę ten ustęp przydługi o pierwszym szkopule sprawozdawcy: Chcę tylko zawczasu uprzedzić, że i moja „prawda“ będzie bardzo względną, bardzo własną. A nadewszystko — na wstępie chcę czytelnikowi pokazać s w ó j pryzmat... zeza w swojem oku.

* *
*

Proszę odczytać notatkę następującą:

„Podczas trwania wystawy zapowiedziane są liczne zjazdy różnych korporacyi i instytucyi. Dotychczas zapowiedziane zostały:

W miesiącu c z e r w c u: Dnia 17 rozpoczną się wyścigi konne i zapowiedziana jest wycieczka przemysłowców i rękodzielników z Ko onyi, projektowana przez komitet lokalny wystawy. Dnia 20 wycieczka około 30 uczniów szkoły rolniczej w Przerowie, pod przewodnictwem 4 profesorów. Dnia 24 wycieczka członków wiedeńskiego stowarzyszenia mleczarskiego. Dnia 25go członkowie stowarzyszenia przemysłowców niższoaustryackich z Wiednia (około 50 osób). Dnia 22 przybędą posłowie do Rady państwa.

Dnia 29 zjazd Sokołów, który trwać będzie do 1go lipca.

W m. lipcu: Dnia 1 urządza oddział rzeszowski Tow. pedagogicznego wycieczkę dzieci szkolnych i nauczycieli ludowych w ilości 200 do 250 osób. Dnia 3go przybywa około 300 uczniów szkół ludowych z powiatu krakowskiego. Między 4 a 8-ym poseł Bolesław Żardecki urządza gremialną wycieczkę włościan z powiatu łańcuckiego około 600 do 800 osób. Dnia 8go rozpocznie się zjazd techników polskich, który trwać będzie do 11 lipca. Zjazd ten odbywać będzie posiedzenia swe w hali muzycznej na wystawie. Dnia 8 przybyć mają przemysłowcy i rękodzielnicy ze stanu włościańskiego z Horodenki i zabawić we Lwowie do 10 lipca. Między 5 a 15-tym zapowiedziana jest gremialna wycieczka Węgrów. Dnia 11go zapowiedziano przyjazd włościan rolników ze Śląska. Dnia 14 zapowiedziano nader liczne przybycie uczniów szkół ludowych, przedewszystkiem ze Lwowa i najbliższych okolic. Od dnia 16 do 18 obradować będzie kongres pedagogiczny polski. Odbędą się zatem zjazdy Towarzystwa pedagogicznego i Towarzystwa nauczycieli szkół średnich i wyższych. Dnia 19go rozpocznie obrady zjazd literatów i dziennikarzy. Dnia 23go odbędzie się zjazd przyrodników. W dniach 25go do końca lipca urządza oddział Towarzystwa pedagogicznego w Trembowli wycieczkę dzieci szkolnych (około 80 osób.)

W sierpniu: Dnia 3 zapowiedziany jest przyjazd Polaków z Ameryki. Dnia 12 zjazd stowarzyszeń rękodzielniczych „Gwiazda“. Dnia 18 odbędzie się zjazd Stowarzyszeń zarobkowyck i gospodarczych. W dniach 29 i 30 odbędzie się zjazd Kółek rolniczych.

W dniach 7—12 b a w i ć b ę d z i e w e L w o w i e C e s a r z.

W dniach od 6 do 12 odbędą się wyścigi konne. Podczas pobytu cesarza zapowiedziany jest również zjazd straży ochotniczych pożarnych. W dniach 9—11 odbędzie się również zjazd ekonomistów i prawników. Dnia 13 odbędzie się zjazd leśników. W dniu 16 i 17 odbędzie się zjazd aptekarzów (około 250 osób).

Prócz powyższych zjazdów urządza p. Zbigniew Horodyński ze Zbydniowa (powiat tarnobrzeski), we wrześniu wycieczkę około 300 włościan. Wydział powiatowy w Nisku urządza wycieczkę uczniów szkół ludowych z powiatu niżańskiego. Z powiatu żółkiewskiego urządza się na jeden dzień wycieczka dzieci szkolnych. Prócz tego zapowiedziane są zjazdy Towarzystwa kupców i przemysłowców, oraz pomologów.“

Wprost dziecinnej radości doznaję czytając i odczytując tę notatkę — bo proszą ją uzupełnić tymi, których przybycia zapowiadać nie wolno, a którzy się stawią gromadami; proszę wyobrazić sobie te rzesze polskie nawykłe do rozmów kradzionych i więziennych, tych wszystkich młodych, którzy n i g d y dotąd ani na chwilę nie odetchnęli atmosferą wolniejszą, a których wystawa zwabi — wówczas sucha notatka sprawozdawcza nabiera innego znaczenia!

Cóż wobec tego obchodzi mnie protest wobec obcych, a wrogich potencyi? Co „obce kapitały.“ które zawsze napłyną, bo wezmą 6 prct. zamiast belgijskich 2 prct.? Co mi po złudzeniu, że u nas „czujesz, że jesteś w Europie?“ Po co mam łudzić się tem, że wystawa daje „wszechstronny i wyczerpujący obraz naszych dorobków.“

Wiem, że go nie daje i dać dziś nie może. Jednak bez całej tej pompy w pryzmacie moim zbiera się dość promieni ogromnej radości, aby w poczuciu jej z całej piersi zawołać: „Alleluja!...“ Brak okazów wystawowych zastąpimy sami własnemi osobami — wystawa wówczas będzie świetna. Nie oglądając się na wyroki „Jury“ obcych potencyi — sami sobie urządzimy festyn: rozradujemy się ile sił. A uroczystość ta sama w sobie lepszą będzie, żywotniejszą i bardziej krzepiącą od wszystkich „zdrowych“ rad dla narodu.

* *
*

Jeszcze raz przepraszam czytelnika za podniesienie aż nadto mu znanych zadań wystawy. Lecz to był mój „pryzmat wystawy lwowskiej: przez pryzmat ten widzę ją zawsze promienną. Co się zaś tyczy faktów i cyfr — podawać je będę „bezstronnie“. Bylebym tylko mógł dorachować się milionów gości.

Antoni Potocki.

KRONIKA KRAKOWSKA.

19 czerwca.

(P o g r z e b k s. k a r d y n a ł a D u n a j e w s k i e g o. K a p i t u ł a w o p a ł a c h. P r z y j ę c i e c z ł o n k ó w k o a l i c y i. O r d y n a c y a k s. C z a r t o r y s k i c h. P r a s a a w y ś c i g i.)

Na pogrzeb ks. kardynała Dunajewskiego zjechali wszyscy biskupi i arcybiskupi z wyjątkiem chorego ks. Knitowskiego, biskupa unickiego w Przemyślu. Kapituła w pierwszej chwili postanowiła pochować zmarłego na cmentarzu, ale opinia publiczna zmusiła ją do przedsięwzięcia starań o pozwolenie pochowania zwłok jego na Wawelu. Spoczął więc Dunajewski w podziemiach katedry wraz z innymi biskupami krakowskimi, swoimi poprzednikami. Wskutek jednak tej zmiany w ułożonym poprzednio programie, obchód pogrzebowy nie wypadł tak świetnie, jak się spodziewać należało. Połowa duchowieństwa, wszyscy biskupi, z wyjątkiem ks. Łoboza, lud i obywatele okoliczni nie brali udziału w przeniesieniu zwłok z pałacu biskupiego na Wawel, bo przybyli dopiero na termin wyznaczony na przeniesienie zwłok na cmentarz. Przed trumną też niesiono jeden tylko wieniec z Rudawy, gdzie ks. Dunajewski był niegdyś wikaryuszem. Mowę na Wawelu wygłosił ks. Pelczar. Msze św. odprawiali wszyscy biskupi, oraz inni duchowni, według swoich obrządków. Śpiew alumnów ruskich brzmiał wspaniale w murach katedry i w niejednem sercu budził nadzieję, że nietylko przy trumnie dostojnika Kościoła staną z czasem zgodnie bratnie plemiona. Przypadkiem znajdowali się w katedrze najwybitniejsi austryaccy mężowie stanu jak: Hohenwart, Chlumetzky, Rieger, Kuenburg, Harrach, i t. d. bawiący chwilowo w Krakowie w przejeździe na wystawę lwowską. W komplecie naturalnie byli wszyscy dostojnicy galicyjscy tak autonomiczni jak i rządowi. Cesarza reprezentował na pogrzebie książę Lichtenstein.

Kto będzie następcą ks. Dunajewskiego na krakowskim tronie biskupim różne są domysły. Jedni mówią o ks. Łobosie, biskupie tarnowskim, drudzy o ks. Puzynie, sufraganie lwowskim. Pisma niemieckie, a za niemi galicyjskie, rozgłosiły, jakoby kandydatem był również ks. Potulicki, kanonik ołomuniecki, ale chyba pisma te nie wiedzą, że ostatnie lata życia tego kanonika upłynęły tak wesoło, że podobno je-

sokości świętej walki proste zachcenia rabunku. A jednak bezstronnie rozpatrując się w dziejach śmiało powiedzieć możemy, że na Ukrainie sztandar krzyża bizantyjskiego tak gdzieś ukrywa się w cieniu, w kącie, że przy najgorętszych chęciach odnaleźć go nawet nie można... Tu przekonania religijne nie znaczyły nic, zmieniano je bardzo łatwo, kmieć z poturnaka został prawosławnym, z prawosławnego unitą albo łacinnikiem i v i c e v e r s a podług upodobania. Popów swoich nie szanował, sam ich z pośrodka siebie wybierał (stawlenniki), nie bacząc na to, czy znali służbę cerkiewną.

Posiadacze wielkich obszarów w tej stronie, jak Potoccy, Lubomirscy, Jabłonowscy, Czartoryscy — według samego nawet Kojałowicza — odznaczali się tolerancyą. Nadawać więc rzeziom znaczenie walki religijnej — to jedno, co nie znać wcale dziejów, albo nałamywać je gwoli naprzód utworzonej teoryi.“

Nie ulega wątpliwości, że na bunty i rzezie w Ukrainie wiele wpłynął system pańszczyźn'any, pomimo, że takowy istniał we wszystkich innych częściach Polski, nie wywołując nigdzie rozruchów. Ale te inne skutki, jakie pociągnęła za sobą poddańczość ludu na Ukrainie nie wypływały bynajmniej z poczucia jakiejś odrębnej narodowości, o której ani lud, ani duchowieństwo tak unickie, jak dyzunickie nie miało najmniejszego podówczas pojęcia.*) Powodem buntów było sąsiedztwo Zaporozkiej siczy. Trudno było nawet wymagać, aby chłopi ukraińscy nie pragnęli się zwolnić z obowiązkowego jarzma robocizny. Mając o miedzę rodzimy żywioł hulaszczy, w największej swej części ze zbiegów tegoż samego ludu złożony, niepracujący i nie myślący o niczem prócz łupienia wszystkiego, co się dało złupić bez względu na to, czy zdobycz wziętą została na Tatarach, czy na chrześcijanach. Łatwe to rozbójnicze życie szerzyło zaraźliwy przykład i oddziaływać musiało z konieczności na lud zostający w nieustannych stosunkach z kozactwem. Zbieg dwóch sprzecznych z sobą elementów: niewoli poddańczej z jednej strony, a swobody i rozpasania kozackiego z drugiej musiał nieodzownie wyrodzić dziką ludową walkę, któraby w innych stronach kraju była niemożliwą. Narzekania niektórych dzisiejszych historyków na „plantatorską“ politykę szlachty dawniejszej dowodzą tylko zupełnego niezrozumienia ducha owej epoki; możnaż bowiem wymagać od poprzednich pokoleń, aby się zrzekły lat temu dwieście systemu, który we wszystkich krajach i państwach ówczesnych był ogólnem prawidłem i usunięcie którego nastąpiło ostatecznie w stuleciu bieżącem. Dla Rzeczypospolitej pozostawała do wyjścia z odmętu klęk nieustannych, jedna chyba droga: wyniszczenia kozactwa do szczętu i zniesienia Zaporoskiej Siczy, lecz system eksterminacyi był dla niej zawsze obcym i nie zgadzał się z uczuciami i usposobieniem ogółu krajowego.

P. Kariejew w swej książce potrąca bardzo często o ucisk ludu w Polsce, cytując słowa innych autorów lub dopełniając je swemi uwagami. Podkreśla on niejako każde nieżyczliwe lub niesprawiedliwe zdanie cudzoziemca o Polsce, podczas gdy pisarzów dla niej życzliwych, jak Rulhière'a np. potępia stanowczo.

(Dokończenie nastąpi).

*) W dziejach mamy tysiączne wskazówki, że duchowieństwo Rusi wogóle (połączone z katolicyzmem i niepołączone) najchętniej mówiło i pisało po polsku, widziało bowiem w polszczyźnie wszelkie cechy wyższej ogłady i wytworności. Język polski był językiem domowym wszystkich wyższych i średnich klas ludności rusińskiej.

szcze do dziś dnia odbywa rekolekcye: wątpić więc należy, aby w sferach decydujących nie wiedziano o tem, co się dzieje w Ołomuńcu. Korespondent wasz był w roku zeszłym świadkiem rozmowy zmarłego kardynała, tyczącej się następstwa po nim — i przypomina sobie, że ks. Dunajewski wyraził się, iż w Rzymie „przygotowywa“ czy też „przygotował“ sobie następcę. Wskutek tej rozmowy czyniono różne przypuszczenia i słyszałem między innemi nazwisko tak zupełnie mi obce, żem go nawet nie zdołał zatrzymać w pamięci.

Co jednak, zdaje się, jest pewnem to, że biskupem krakowskim nie zostanie żaden z członków miejscowej kapituły. Wogóle wybór byłby dość trudny. Po za tą trudnością jednak leży inna przeszkoda, a tą jest świeża kompromitacya kapituły w sprawie pogrzebu kardynała. Zaledwie zamknął oczy, kapituła uchwaliła pogrzebać go na cmentarzu i to bez balsamowania. Kiedy ta uchwała wywołała ogólne zdziwienie i protesty ze stron wielu, boć pochowanie biskupa we własnej katedrze jest rzeczą powszechnie przyjętą, wtedy kapituła tłomaczyła się ustawą, zabraniającą chowania zmarłych w murach świątyń. Powiedziano jej, że ustawa jest ustawą, ale rząd w pewnych wypadkach czyni wyjątki, jak to zresztą było niedawno z Lenartowiczem, pochowanym w murach świątyni na Skałce. A więc kapituła zatelegrafowała do namiestnika pytając się: czy może pochować kardynała w katedrze b e z b a l s a m o w a n i a. Takiego pozwolenia namiestnik udzielić nie mógł i nie udzielił, ale dlaczego: b e z b a l s a m o w a n i a? wszyscy pytali. Oto dlatego, że kapituła jest biedna, że dygnitarzy jej, zawdzięczających swe dygnitarstwo zmarłemu, nie stać na wydatek 500 złr. I dziwna rzecz, że tym biednym członkom kapituły (jednego z nich liczą na 300,000 złr.) nie przyszli w pomoc ci, którzy na oko największą czcią otaczali zmarłego, lub których to było najbliższym obowiązkiem. Pokazuje się widocznie, że nasza arystokracya jest równie biedna jak kapituła, że nie stać ją było na więcej, jak na 10 lub 25 złr. złożonych zamiast wieńca na restauracyę katedry. Wobec tej ogólnej biedy i nędzy postanowił zastąpić kapitułę, Potockich, Tarnowskich i t. d. adwokat Retinger. Kapituła ofiarę przyjęła, a pełna skromności, nie wstydząca się przyznać do swojej biedy (przymiot to bardzo rzadki. a więc wart podniesienia) zaproponowała jeszcze dr. Retingerowi, aby był łaskaw użyczyć jej cośkolwiek z ziemskiej mamony na przyjęcie kleru, jaki prawdopodobdnie w znacznej liczbie przybędzie ze Lwowa i z prowincyi. Dr. Retinger i na to się zgodził. A więc —proszono go.— aby obietnicę swą zaraz zrealizował, bo wszak człowiek nie jest pewny ani dnia, ani godziny.

Po schudnięciu pugilaresu dra Retingera, wysłano telegram do ministra spraw wewnętrznych z prośbą o pochowanie zwłok z a b a l s a m o w a n y c h w Katedrze na Wawelu. Zanim odpowiedź przychylna nadeszła, wieść o ofiarności dra Retingera rozeszła się po Krakowie, a ponieważ ofiarodawca należy do osobistości nie zbyt popularnych, więc Rada miejska s t a n t e p e d e zebrała się i uchwaliła ponieść koszta balsamowania. Pan R. pieniędzy cofnąć nie chciał, Rada nie chciała cofnąć swojej uchwały. Kapituła dostawała „nosa“ za nosem, więc rada nie rada, chcąc wyjść z tego przykrego położenia postanowiła ratować swój honor odesłała pieniądze drowi R., nie przyjęła pieniędzy od gminy i ogłosiła n a parę dni po pogrzebie, że koszta balsamowania sama pokryje. W całym moim opisie przebiegu tej sprawy nie ma ani słowa przesady, a sam fakt stał się tak głośnym, że doszedł do uszu sfer, od których zależy przedstawianie kandydatów na biskupa. Godzi się więc wątpić, aby który z członków kapituły krakowskiej zasiadł na tronie Zbigniewa Oleśnickiego.

Przejeżdżających przez Kraków członków rządzącej w parlamencie koalicyi, przyjmowano gościnnie w Krakowie, a jeszcze gościnniej przyjmują ich we Lwowie. „Gość w dom, Bóg w dom“, powtarzano kilka razy przy dźwiękach orkiestry i wystrzałach korków od szampana. Któż się nie zachwyca gościnnością staropolską — ma to być nasza wyłączność narodowa. Wprawdzie Niemcy zachwycają się swoją gościnnością staroniemiecką, francuzi starofrancuską i t. d., ale ponieważ tamtych gościnności nigdy nie doświadczałem, a o staropolskiej najwięcej słyszę, przeto ją czczę i szanuję. Tylko zdaje mi się, że jeżeli po staropolsku przyjmujemy przyjaciół, a wszak naszą przyjaciółką jest koalicya wiedeńska, to z przyjaciółmi powinno się postępować otwarcie. Jeżeli kapituła nie wstydziła się swej biedy, to tem mniej wstydzić jej się powinna Galicya. Obawiam się zaś, czy huczne przyjęcia członków koalicyi nie wzbudzą w niej przekonania, iż kraj nasz płynie mlekiem i miodem, jak uczty na ich przyjęcie płynęły szampanem, a obawiam się z tej przyczyny, iż w Wiedniu oddawna już sądzą, że za mało płacimy podatków. Ciekawy też jestem, czy przyszło też komu na myśl zapytać niektórych panów z koalicyi: co myślą o Śląsku? lub dlaczego nie wniesiono do parlamentu sprawy ordynacyi ks. Władysława Czartoryskiego?

Ta ostatnia sprawa smutny, a niespodziewany przyjęła obrót. Pisząc w „P r z e g l ą d z i e“ o reformie ustawy prasowej, wspomniałem, że trwogą przejmuje odwleczenie sprawy tej ordynacyi z powodu złego stanu zdrowia ks. Władysława Czartoryskiego. Wczoraj przyniósł telegram wiadomość o jego śmierci. Śmierć ta jest stratą potrójną. Ubył naprzód człowiek dobrej woli, wielkiej ofiarności, który niejednokrotnie reprezentował sprawę polską, a wobec zagranicy, dzięki swemu nazwisku, swym stosunkom i związkom rodzinnym, był, jakby widomą głową Kościoła naszej narodowej przeszłości i naszych dążeń politycznych. Drugą stratą, jaką śmierć jego przynosi, jest niezdecydowany los wspaniałego Muzeum Czartoryskich. Książę zostawił dwu synów, obaj są jeszcze nie pełnoletni, a choć przypuszczać się godzi. że zechcą święcie dochować tego, co ich ojciec przyrzekł naszemu społeczeństwu, to jednak pewności pod tym względem mieć nie możemy.

Wątpię zaś, aby projekt ordynacyi wniesiony przez ś. p. księcia Władysława mógł dziś, gdy on już nie żyje, wejść pod obrady parlamentu. Oto rezultat naszej wysokiej polityki, oto rezultat, że należymy do koalicyi. że mamy mamy w rządzie dwu ministrów rodaków, z których jeden jest ministrem oświaty, a więc z urzędu swego powinien był ordynacyą tą najszczerzej i najgorliwiej się zająć.

Cóż robić? Pocieszajmy się przynajmniej tem. że piąty bieg „sprzedażny“ pierwszego dnia wyścigów krakowskich „był świetnym tryumfem galicyjskich hodowców“. bo „po bardzo pięknym finischu“ zwyciężyła Otero, klacz p. Schindlera. Bliższe szczegóły tego tryumfu znajdują się w „C z a s i e“ w numerze 142 z wtorku dnia 26 czerwca 1894, do którego ciekawych odsyłam. Liberali mogą tego samego dowiedzieć się z „N. R e f o r m y“, a antysemici z „G ł o s u N a r o d u“, bo trzeba przyznać naszemu całemu dziennikarstwu. bez różnicy przekonań. że historyi końskich walk o pierwszeństwo i hymnom na cześć zwycięzkich czworonogów poświęca swoje łamy w tak wielkich rozmiarach. że braknie mu prawie miejsca na literaturę, sztukę i inne tym podobne drobiazgi.“

K. Bartoszewicz

ZE ŚLĄSKA POLSKIEGO.

25 czerwca.

Szmula zwyciężył. Oto najważniejsza wiadomość podawana skwapliwie przez wszystkie pisma codzienne na drugi dzień po zwycięstwie. Fakt sam, jakkolwiek dla sprawy polskiej na Śląsku bardzo ważny, przeszedł tym razem bez tych wiwatów, jakie w podobnych przypadkach wydobywają się z piersi zwycięzców. Badając przyczynę tego objawu nie trudno spostrzedz, że radość Niemców-katolików jest tylko połowiczną. Polacy natomiast nie s ı dość pewni siebie, by wyzyskując okoliczności, gromkie wiwaty krzyknąć nad uchem chwiejnych sprzymierzeńców. Skromność ta nasza oziębiająco raczej działać może, nasuwając domysły, jakobyśmy snać nie dowierzali zbytnio naszej sile, a więc tym razem i zwycięstwu.

Niech zresztą każdy sądzi jak mu się podoba, to wszakże jest pewne, że p. major Szmula i nadal nas bronić będzie, i że obrona ta w przyszłości na energii i pewności siebie z pewnością nie straci. Lud polski dowiódł tym razem. że obrońców swoich i on obronić jest w stanie i że zwyciężyć umie bez kleru wynarodowionego, a nawet przeciw jego woli, czego dotychczas lud sam nie wiedział i o czem w najlepszym razie powątpiewać było można.

* *

Od dawna wyczekujemy też wieści o centralnym komitecie wyborczym, ale głucha cisza panuje w około! Szkoda! bo myśl nie zła. byle ją umiejętnie wykonać. Czy jednak Śląsk polski będzie mógł się poddać jurysdykcyi centralnej, dokąd posłów do Centrum wybiera, to rzecz inna. My Ślązacy nie mamy na razie tak dalece potrzeby występowania przeciw wysyłaniu posłów naszych do Centrum, jak długo to Centrum niemców niemcom wybierać rozkaże, uznając w okręgach polskich nasze życzenia i to w przyszłości mniej platonicznie niż się dotychczas to działo. Ale polski komitet centralny musiałby pobudzająco i na Śląsk polski oddziaływać, czego po komitecie prowincyonalnym poznańskim — sennym staruszku — spodziewać się nie można. Otóż to jest powód, dla którego z utęsknieniem wyczekujemy komitetu centralnego. Chcąc oddziaływać bowiem na ogół Śląski, nie wystarcza znoszenie się jednostek pomiędzy sobą i oddziaływanie jednostki jednej na drugą, co i dziś zdarzyć się może, lecz potrzeba do tego siły zbiorowej i zbiorowych oddziaływań.

Zawiązanie się komitetu centralnego z programem agitacyi wyborczej na cały Zabór pruski musiałoby już samo przez się wpłynąć na utworzenie się polskiego komitetu wyborczego na Śląsku, którego tu niewypowiedzianie gwałtowna potrzeba zachodzi. Dotychczasowa partyzantka wyborcza na Śląsku jest bowiem po większej części tak niedołężnie prowadzoną, że jedynie temu też mamy do zawdzięczenia więcej jak mierne owoce naszych wysiłków wyborczych. Wybór Ballestrema w Bytomiu i smutna rola, jaką przytem odegrał nasz komitet tamtejszy, dowodzi w równym stopniu mierności taktyki wojennej, jak zwycięstwo p. Strzody w Prudnickim obwodzie, o którem gazety nasze z pism niemieckich dopiero się dowiadywały.

Boć chyba temu zaprzeczyć się nie da, że ten sam lud, który bez energicznej pomocy pism i reklamy, nie poparty przez kler, świetne odnieść umiał zwycięstwo w Prudnickim okręgu byłby pod komendą sprężystego komitetu wyborczego takie same zwycięstwa odnosił już o wiele dawniej i to nietylko w samym obwodzie Prudnickim. Ale niestety mamy tu jeszcze takich ludzi, którzy ludu i sił jego nie znają choć stoją na czele i hetmanią mu w życiu publicznem.

Dla ilustracyi przytoczę tyle tylko, że znaleźli się tacy, którzy pewnemu aktorowi polskiemu, pytającemu się, czy wartoby było na jeden wieczór zjechać z przedstawieniem do Bytomia, stosunki w tak czarnych przedstawili kolorach, że zrażony aktor, któremu nawet 40 m. zbioru nie wróżyli. czemprędzej z Bytomia czmychnął.

Krzywda, którą takim przedstawieniem rzeczy wyrządzono polskości Bytomia i okolicy jest tak wołającą o pomstę do nieba, że jeszcze się kiedyś ten lud polski chyba upomni o odwołanie oszczerstwa. Już w roku zeszłym zamierzało grono ludzi zająć się zwołaniem wiecu polskiego na Śląsku, na którym sprawę organizacyi wyborczej tudzież sprawę towarzystw polskich i wiele innych podobnych naglących spraw załatwićby można. Myśl ta zapalała wszystkich, którzy o niej posłyszeli, z jedynym wyjątkiem tych, którzy, jak na tutejsze stosunki mogą jedynie wykonaniem się zająć. Podług słów je-

dnego z tych panów*) wiece i zjazdy są niepotrzebne, co więcej szkodliwe, bo wyciągają grosz z kieszeni ludu na zebrania, których owoc streszcza się w słowach: czcza gadanina. Logika ta nie wytrzymuje najłagodniejszej krytyki. ale ponieważ potentatom naszym trudno się oprzeć, więc postonowiono siedzieć w domu spokojnie. Polska organizacya wyborcza na Śląsku jest potrzebną i to nie za lat 5, lecz dziś już, a najdalej jutro, aby udowodnić, że polskie przedstawienie teatralne w Bytomiu nie 40 ale 400 marek na wieczór przynieść może aktorom, i że hr. Ballestrem wcale a wcale nie jest odpowiednim na przedstawiciela ludu polskiego w Centrum.

Odpowiedzialność za dotychczasową ospałą i niewyraźną akcyę wyborczą na Śląsku spada na głowy tych, którzy będąc u steru nie chcą, czy nie umieją złączyć się w jednę całość, by módz tak w Lignicy i Wrocławiu, jak w Bytomiu, Raciborzu i Opolu walczyć bądź z kartką przy urnie wyborczej, bądź trojaczkiem na wydrukowanie tych kartek, i jeśli nie w Lignicy i Wrocławiu to w Bytomiu i Raciborzu z całą pewnością zwyciężać. *Chm.*

W sprawie młodzieży akademickiej

Karlsruhe 22 czerwca.

Szanowny Redaktorze!

Pozwalam sobie niniejszem prosić Szanownego Pana o udzielenie mi miejsca w łamach pisma, które, będąc organem postępowej części społeczeństwa poznańskiego, tem samem stanowi już krytykę wszelkich wstecznych poglądów i dążności . . .

W 130 Nr. „Dziennika Poznańskiego“ zamieszczona jest odpowiedź Akademika Wrocławskiego, na artykuł z 10-go N-ru „Przeglądu Poznańskiego“.

Autor tejże wychodzi z założenia, że młodzież obecna, aczkolwiek „posiada pewne usterki“, zasługuje jednak na uznanie za jej na systematycznej pracy oparty kierunek; dalej powiada Akademik, że młodzież osięga wykształcenie „duchowe“ i „uczucia szlachetne“ przez gruntowne studjum pojedyńczych gałęzi nauki; nie zaniedbywa również i ogólnego wykształcenia, dowodem czego wykłady i odczyty z historyi i literatury, które, chociaż może nie odznaczają się „zbyt wielkim polotem myśli“ „dowodzą bądź co bądź dobrych chęci młodzieży akademickiej“.

W konkluzji autor wyraża się, iż pierwszy to raz zrobiono młodzieży zarzut z tego, że pracuje i stara się osiągnąć pozytywne wiadomości, a nie oddaje się płytkim i bombastycznym frazesowaniom na polu naukowem.

Oto są główne punkty, na jakich Akademik Wrocławski zbija artykuł Sulli. — Jednak czy są one niezbite?

Autor uważa, że młodzieży należy się uznanie za jej na systematycznej pracy oparty kierunek.

O jakim to kierunku mówi Autor?

Jesteśmy tego zdania, że młodzież w postępowaniu swem kieruje się idealizmem. Wypływa to zupełnie z natury młodości, z poglądów opartych na subjektywnym, optymistycznym przeważnie sposobie myślenia i z takiego stanu fizycznego, w którym jednostka, mając za sobą świeży, nienaruszony zasób sił żywotnych i psychicznych, zupełnie naturalnie zużywa przy wstąpienie w okres życia społecznego dużo energii t. j. więcej niżeliby energii tej straciła z powodu równej przyczyny w późniejszym czasie.

Idealizm ten ujawnia się jako dążenie do czegoś lepszego, doskonalszego. Indywidualizm jednostki decyduje osposobie przejawów idealizmu. Może on się wrazić jako dążenie do ulepszenia obecnie istniejących form czy to rodzinnych, czy to religijnych, czy to politycznych lub społecznych — zależne to jest od wspomnianego powyżej indywidualizmu.

Weźmy szlachetny indywidualizm. Kieruje on się nie tylko przez ciąg młodości, że tak powiemy, idealno-społecznemi, celami, ale wiernie, choć zmniejszą energją, postępuje w myśl ich przez całe życie. Natury te stanowią w rozwoju społeczeństwa czynnik postępowy.

Weźmy teraz indywidualizm przeciwny: po za celem, który się określa interesem swego „ja“ nic nie uznaje: w postępowaniu jego cel powyższy uświęca podobne środki. Jako charakter — egoista, jako członek społeczeństwa — karjerowicz.

Rozumie się i ten rodzaj indywidualizmów przechodzi stadjum idealizmu. Stadjum to tylko jest b. krótkie i uważane jest później jako niedorzeczne i dziecinne . . . .

Przedewszystkiem rozsądek i praktyczność!

Jeżeli się przypatrzymy młodzieży u nas, w Poznańskiem, to znajdziemy frazesując słowami Akademika „walkę o byt“ i „rozważne dążenie do osiągnięcia w jaknajprędszym czasie samodzielnego stanowiska w życiu społecznem“, a mówiąc językiem zrozumiałym — dążenie do zapewnienia sobie jaknajwiększych korzyści w swem życiu społecznem, właściwe karjerowiczostwo i poniekąd sobkostwo. — Nie zdaje nam się, aby podobny kierunek zasługiwał na uznanie.

„Systematyczna“ praca ogranicza się do systematycznego opracowania przedmiotów, objętych programem szkolnym. A nie sądzimy, żeby wypełnian e koniecznych obowiązków było z a s ł u g ą, — specyalnie, jeżeli ta „systematyczna praca“ jest sposobem do zrobienia karjery, zajęcia stanowiska etc.

A wreszcie, gdyby t k było, to podług autora gruntowne studjum pojedyńczych gałęzi nauki daje młodzieży wykształcenie „duchowe“ i uczucie „szlachetne.“ Szukamy więc tych „wyższych idei“, wznieconych przez medycynę, prawo, filologię etc. Ujawniłyby się one w życiu społecznem u nas. Gdzież są?

Czy młodzież nasza odgrywa, chociaż w mniejszym stopniu, rolę, jaką objęła młodzież n. p. galicyjska społecznie i politycznie? (ruch ludowy, teatr ludowy, czasopismo „Życie“, sprowadzenie zwłok Mickiewicza.)

Można powiedzieć, że młodzież nasza kształci się w wyższych zakładach naukowych niemieckich, więc nie może wywołać ruchu. Tak! ale, jeżeli przyjmiemy, że młodzież ta na ławie szkolnej posiada „wykształcenie duchowe“ i uczucia „szlachetne“, to przecież młodzież ta, będąc na “stanowiskach w życiu społecznem“, rozszerzałaby owe „szlachetne uczucia“. Czy możemy to jednak tak z czystem sumieniem powiedzieć o społecznej działalności naszej inteligencyi?

O garstce niewielkiej chyba. Jasnem więc jest, że młodzież jest egoistyczną, a idealne dążnnia istnieją po większej części tylko na ustach i są czczym frazesem.

Celem młodzieży jest budzić nasze społeczeństwo z uśpienia, być krzewicielem myśli postępowej, obudzić ducha godności narodowej, zwalczać służalczość, szerzyć oświatę wśród ludu, stać na straży interesów narodu — jednem słowem być mózgiem i sercem narodu — to jest zadanie i właściwy kierunek.

Głos z Karlsruhe.

*) Napieralski nacz. red. „Katolika“.

NA WYŁOMIE.

(Przed pomnikiem Władysława Niegolewskiego.)

Na bukowskim cmentarzu odsłonięto w spiż i marmur zaklęte oblicze Władysława Niegolewskiego. A gdy z pomnika welon uchylono; wionęło tchnienie płomienne po tłumach ludu polskiego i cichy kościół zmienił się w świątynię miłości. Zdawało się niekiedy, że duch bohatera płynie nad mogilną ziemią, a kogo muśnie białemi skrzydłami, ten kocha silniej i nienawidzi potężniej...

Nieraz, gdy błądzę po naszej ziemi żałobnej i słucham bicia serc polskich, doznaję dziwnie przykrego wrażenia, i mysli posępne jak rój czarnych motyli wznoszą się w głębinach duszy, a smutne przeczucia jak gadziny kłębią się w mózgu i pełzają w tych skargach głośnych, które rzucam na papier. Zdaje mi się bowiem, że na tej ziemi kresowej wszystkie barwy spłowiały, że poziom uczuć naszych obniżył się nagle i senni o wybladłych kolorach, ani z lodu, ani z płomieni, suniemy jak cienie w przyszłość niepewną. Więc wyciągnąłem ręce do tego pomnika, który stanął na bukowskiej ziemi, bo wionęła z niego ta m i ł o ś ć potężna, której tak często szukam, dziś napróżno, — wionęła ta w o l a hartowna, której nic nie skruszy i jakaś wielka d u m a bohaterska, której żadna błyskotliwa pokusa w proch nie pochyliła i na trzęsawiska abnegacyi nie wiodła. A gdy myśl w fali wspomnienia kąpana zwróciła się ku nowemu pokoleniu, zagrały struny sercowe tem boleśniejszym akordem i tem natarczywiej brzmiało ponure pytanie. „Czemu?“ Czemu ta miłość płomienna, ta duma z bronzu i wola ze stali tak rzadkie dzisiaj jak białe jaskółki? Czemu giną i karłowacieją w narodzie naszym?

Być może, że choroby wieku: apatya która ziębi serce i suchy utylitaryzm, który świat cały zmienia w targowisko, — i nas dotknęły wyziewem trującym, ale nie mogę obronić się wrażeniu, że obecne prądy polityki naszej przyspieszają rozwój choroby. Mowy sejmowe — to pokorna prośba, posłowie blaskiem tronowym olśnieni odurzają się kurtuazyę dworską, lojalizm zmienia się w straż pożarną, ktora uczuć płomienie strumieniami wody zalewa, a w tem błędnem kole słabnie intenzywność naszej odrębności narodowej i rozpoczyna się taniec koło wielkiego bożyszcza, które złotemi błyskotkami płaci za fanatyczne nabożeństwo wiernych. Tych demoralizujących wpływów lękam się dla ludu mojego i bezustannie dzwonią mi w uszach złowróżbne słowa jednego z mówców, który przed pomnikiem Władysława Niegolewskiego zawołał, że ulgi w szkole ludowej nie zbawią narodu, jeżeli okupić je trzeba studzeniem uczuć patryotycznych, zacieraniem wybitnego „My a wy“ i rozbudzeniem osobistych spekulacyi w armii narodowej.

Lubią pionierzy lojalizmu, naszego rzucać opozycyi wyraz: Krótkowidze! Ale coś mi się zdaje, że krótkowidztwem politycznem jest raczej to zogniskowanie całej działalności dyplomatycznej około wytargowania mikroskropijnych ustępstw w dziedzinie szkolnej, nietylko za cenę nowych ciężarów, lecz za cenę zasad moralnych. Gdyby rząd nawet posunął się do drobnych koncesyi, gdyby cukierki jego nie były podstępną darowizną Danaów, to — zyski nie zrównoważą narodowego uszczerbku.

I dla tego ciasną może była ta polityka bezwzględnego protestu, którą reprezentował Władysław Niegolewski, ale ciaśniejszą niewątpliwie jest kierunek bezwzględnego, rafinowanego nieomal lojalizmu, który reprezentują obecni sternicy. Pierwszy budził ducha, budził energię i samopomoc narodową, drugi ducha w sen upowija i fundamenty etyczne niweczy.

Wieńca na pomniku twoim nie złożyłem, bohaterze wielkopolski, ale od kamiennej piramidy, wzniesionej przez ziomków twoich, rzucam te słowa tym wszystkim, którzy dziś przed ołtarzem rządowym uginają w zachwycie kolana, a którym może „racye stanu“ nie pozwoliły w dniu uroczystym spojrzeć w śpiżowe oblicze twoje. I niechaj, szlachetny obrońca Ojczyzny, nie płoszą snu spokojnego w cichej mogile upiory lojalizmu naszego. Ta garstka ludzi, która się zgromadziła koło pomnika Twojego, stoi, jak pies wierny na straży i prędzej czy później na nowe tory naród twój sprowadzi. *Sulla.*

KRONIKA LITERACKA.

— M. Cz. Przewóska. Fryderyk Nietzsche jako moralista i krytyk. Warszawa. Nakład St. Cohne 1894.

Chwilowe zajęcie się tym głośnym obłąkańcem już przeminęło w naszej Warszawie, gdy ukazała się broszura p. Przewóskiej. Nie wiele też dodaje ona do tego, co już u nas pisano o Nietzschem. Autorka zresztą stara się wyidealizować niemieckiego apostoła brutalności i powodzenia, podstawiając mu własne dobre chęci lub zbliżając go do takich kierunków, z któremi przeciwieństwo sam jaskrawo zaznaczał, jak np. do buddyzmu i chrześcijaństwa:*) Trudno też zrozumieć o co właściwie mówiąc chodzi autorce, gdyż myśl jej, niepewna siebie, owija się w zawikłane i mgliste frazesy.

Za przykład niech posłużą następujące:

„Ascetyzm więc Schopenhaurowski pochłonęła tu całkowicie filozofia Nietzschego w swej dogmatycznej apoteozie życia żywotności, jego (czyj?) Darwinizm w zastosowaniu etycznem, jego (czyje) ideały zachowania, w swej „walce o byt", prowadzącej do wniosku wprost przeciwnego kodeksom unicestwiania instynktów — to w części w prostej linii rodowód „Nadczłowieka" (str. 11).

Autorka szczodrze obdziela rozmaitych pisarzy epitetami „genialny", „wielki" i t. p., a o Nietzschem tak mówi w dalszym ciągu:

„Otóż, że duch Nitzschego przeżywać musiał te dzieje epok historycznych świata, że wstrząsnęła nim silnie Wielkiej Rewolucyi burza, świadczy o tem żywy jego udział we wszystkich tętnach psychicznego nastroju epoki porewolucyjnej, aż po dni ostatnie." (str. 12). Zdaje mi się, że pochwała nietylko nie zasłużona, ale i wcale sprzeczna z usposobieniem człowieka, tak dalece nie pojmującego ducha swego czasu, ani nawet nie interesującego się szerszem tchnieniem dziejowego życia, że kwietyzm jego w tym względzie można porównać tylko do Schopenhauerowskiego.

Sprzeczności jego luźnych wynurzeń — wynik niezdrowego umysłu obłąkańca — usiłuje autorka zatrzeć przypuszczeniem dwóch doktryn: ezoterycznej i egzoterycznej, mówiąc dalej: „Nietzsche „ezoterysta" dla braci swej „po duchu" zrozumiały, bywa niekiedy ultra-moralistą, rzecznikiem istotnego postępu, podczas, gdy Nietzsche „egzoterysta", komentowany najczęściej fałszywie, jednostronnie bo powierzchownie, jest w ścisłym słowa tego znaczeniu „filozofem niemoralności", apostołem etycznego wstecznictwa (str. 19).

Przypuszczenie jednak takie nie da się usprawiedliwić; różnice doktryny ezoterycznej i egzoteryaznej polegały na tem, że jakiś filozof, obawiając się prześladowania za myśli zbyt śmiałe, zwierzał się z niemi tylko swym bliższym adeptom ustnie; publicznie zaś ogłaszał jedynie zmodyfikowaną i osłabioną doktrynę egzoteryczną. Niepodobna więc tych terminów zastosować do Nietzschego, żyjącego w takim czasie, gdy za opinie naukowe nie prześladują, ogłaszającego wszystkie drukiem i nie mającego uczniów poufnych, a przytem, gdyby już jakaś z doktryn miała być egzoteryczną, to w każdym razie nie ta, o której przypuszcza to autorka. Zresztą sam Nietzsche właśnie za największą swoję zasługę uważał burzenie moralności i wcale by nie podziękował za taką obronę, gdyby ją mógł słyszeć. Przecież sama autorka cytuje (na str. 30, okrzyk Nietzschego: „Niechże raz będzie zgładzona ze świata tamująca oddech zmora — sumienie"!

Jakżeż potem zrozumieć, dla czego nazywa go nieco niżej (str. 44) „apostołem nowego dogmatu"?

Niesłusznie też przypisuje autorka krytykowanemu filozofowi swoje szlachetne dążenia, gdy usiłuje gwałtem naciągnąć jego arystokratyzm ducha do idei równości i braterstwa; prowadzi to ją do takich niemożliwych kombinacyi jak „arystokratyzm zdemokratyzowany" (str. 48).

Nie wątpimy, tak kończy p. Przewóska, że krytyka racyonalna właściwe miejsce wyznaczy Nietzschemu — ujemności jego wskaże i potępi, wartości dodatnie oceni i podniesie. Będzie to tryumf prawdy." — Ale nie Nietzschego dodamy.

W osobnej pracy**) poddałem szczegółowej krytyce „nie-moralne" teorye Nietzschego, oraz starałem się wyjaśnić źródła psychologiczne i społeczne tego prądu, którego mniej lub więcej świadomym rzecznikiem jest współczesna doktryna arystokratyzmu ducha. Uwalnia to mnie od konieczności bliższego zatrzymywania się tu nad nią.

Wł. M. Kozłowski.

* * *

— „Przeglądu Emigracyjnego", organu polskiego towarzystwa handlowo geograficznego wyszedł nr. 12. i zawiera: Znowu wychodźtwo do Syberyi. — Dzień polski w San Francisko. — Hr. Paweł Edmund Strzelecki. — O lidze polskiej w Ameryce i Skarbie narodowym w Rapperswylu, — Korespondencye: Buenos Ayres 27go maja 1894. — Rozmaitości. — Sprawy polskiego tow. handlowo-geogr. — Ogłoszenie. — Odezwa. — Odpowiedzi redakcyi.

*) Tak na str. 56 każe Zaratustrze Nietzschego brać krzyż Chrystusowy.

**) Dekadentyzm współczesny i jego filozofia: Paweł Bourget i Fryderyk Nietzsche. Warszawa 1892.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Na ostatniem posiedzeniu wydziału historyczno-literackiego Tow. Przyj. Nauk odczytał p. Dr. Erzepki nieznany dotyczas dyalog wierszowany z 16 stulecia p. t. „Rozmowa plebanowa z panem o wojnie" Jest to niezawodnie trzecia część utworów, które w końcu 16go wieku nieznany autor drukiem ogłosił p. t. „Wyprawa plebańska" i „Powrót Albertusa z wojny". Utwory te zbliżają się treścią i formą do odkrytego przez p. dr. Erzepkiego dyalogu, którego wartość artystyczna jest wprawdzie bardzo mała, który jednak rzuca pewne światło humorystyczne na sprawy i stosunki mieszczaństwa polskiego.

— W ślad za głośną broszurą prof. Quiddego p. t. „Caligula" posypały się, jak z rogu obfitości, krytyki, odpowiedzi, humorystyczne przyczynki i t. d. Publiczność nie wiele z nich skorzystała, ale autorzy i wydawcy nakarmili złotem kieszenie. W najświeższym czasie ukazała się niewielka broszurka p. t. „Caligula-Unfug", zawierająca ostrą krytykę prof. Quiddego, któremu odmówiono umiejętności logicznych dedukcyi i zarzucono błędne zespolenie politycznego i psychiatrycznego stanowiska. Na broszurze czytamy nazwisko Dr. Steinhammer. Jest to pseudonim, za którym ukrywa się znany z kilku politycznych broszur publicysta niemiecki, który obecnie pracuje nad rozprawą, dotyczącą kwestyi polskiej.

— Doroczny salon polski w Lwowie. „N. Ref." pisze: „Podczas wystawy sztuki która nawiasem mówiąc, jest prawdziwą niespodzianką, jaką krajowi zrobili polscy artyści, powstała myśl — jak nam donoszą ze Lwowa — urządzenia dorocznego salonu polskiego w pałacu sztuki we Lwowie. Pałac ten po skończeniu wystawy ofiaruje dyrekcya gminie m. Lwowa. Powszechne stowarzyszenie artystów w Krakowie poczyni odpowiednie kroki tak u gminy m. Lwowa, jak i u rządu i władz autonomicznych, aby tę myśl urzeczywistnić. W ten sposób pchnie się niewątpliwie sztukę polską naprzód, nie bowiem nie kształci tak artystów, jak peryodyczne wystawy zbiorowe. gdzie każdy z nich od razu ocenić może, co mu brakuje".

— Następcy Roschera. Sprawą obsadzenia opróżnionej po śmierci prof. Roschera lipskiej katedry ekonomii zajmują się bardzo gorąco. Krąży pogłoska, że następcami zostaną bądź to Brentano, bądź prof. Miaskowski.

— Teatry we Włoszech i w innych państwach. W Katanii przypada jeden teatr na 9,800 mieszkańców, w Belonii jeden na 20,000, w Wenecyi jeden na 30,000, a w Rzymie jeden na 31,000. W innych miastach, jak w Berlinie przypada jeden teatr na 81,000 mieszkańców, w Hamburgu jeden na 115,000. w Wiedniu jeden na 138,000, w Londynie jeden na 145,000 mieszkańbów. Według stosunku, panującego w Katanii, musiałby Berlin posiadać blisko 200 teatrów, czyli przeszło dziesięć razy tyle, niż ich ma dzisiaj.

— Antydotum. „Nemzet" donosi, że dr. Jan Antal, asystent dr. Arpada Bokaisa, wynalazł antydotum przeciw cyankali. Jest nim cobaltum nitricum. Próby, robione ze zwierzętami, świetnie podobno przyniosły rezultaty.

— Demonstracye antysemickie. Z Wiednia donoszą, iż w sali wykładowej prof. Nothnagla urządzili studenci antysemicką demonstracyę. Wkrótce po wejściu profesora na salę powstała wrzawa, wśród której słyszano okrzyki: Kat! lichwiarz! żyd! Przerażający krzyk spowodował, iż na salę weszli profesorowie Chrobak i Schauta i starali się uspokoić uczniów. Zabrał także głos sam prof. Nothnagel i oświadczył, iż nie ustąpi z katedry aż do końca wykładu. Na to znowu podniosły się krzyki i padły ubliżające wyrazy. Dopiero dziekan wydziału Dr. Vogel zdołał przywrócić spokój i wezwał uczniów, aby natychmiast salę opuścili. Z powodu tych demonstracyi wykłady na wydziale lekarskim uniwersytetu wiedeńskiego zostały zawieszone aż do dalszego zarządzenia.

— W Petersburgu powstanie niebawem nowy instytut medyczny dla kobiet. Z sumy 63,000 rubli preliminowanej na utrzymanie instytutu, zebrano dotychczas 42,000 Rsr.

Zmarli:

Dr. Karol Teodor Liebe, geolog i ornitolog, ur. 11 lutego 1828 r. w Moderwitz, zmarł w Gera.

Dr. Adolf Helfferich, były profesor filozofii w Berlinie, lat 81.

Dr. Zacharyasz Lingenthal, znawca prawa rzymskiego, ur. w Heidelbergu 1812 r., zmarł pod Hallą.

Dr. Wilhelm Freund, zasłużony tłomacz klasyków rzymskich i greckich, ur. w Kępnie w W. Ks. Poznańskiem 27 stycznia 1806 roku, zmarł we Wrocławiu.

Herman Baich, artysta-malarz. Urodził się w r. 1846, umarł w Karlsruhe.

Wilhelm Buttlar, współpracownik „Wieku", zakończył życie. Zmarły pochodził z Poznania i otrzymał wykształcenie na uniwersytetach niemieckich. Przed 20 laty osiadł w Warszawie i poświęcił się pracy dziennikarskiej w „Gazecie Handlowej", „Warszawskiej" i w „Wieku".

Dr. Otto Devrient, były dyrektor jednego z berlińskich teatrów, autor sztuk ludowych p. t. „Marcin Luter" i „Gustav Adolf".

BIBLIOGRAFJA.

— Zofja Kowerska. Siostry. Powieść. Warszawa 1894. Cena 3.75 mr.

— Eliza z ks. Poninskich Augustynowiczowa. Poezye. Lwów 1894. Cena 2 mr.

— Władysław Bełza. Zaklęte dzwony. Legenda z Dziejów Polskich. Wydanie drugie. Lwów 1894. Cena 2 marki.

— Julian Łętowski. Rogata dusza, powieść. Warszawa 1894. Cena 2,50 mr.

— Maurycy Maeterlinck. Wybór pism dramatycznych. Przełożył z upoważnienia autora i wstępem krytycznym poprzedził Zenon Przesmycki (Miriam). Warszawa 1894. Cena 3 mr.

— Henryk Gliński. Zrządzenie. Wiązanka pierwsza. Petersburg 1894, Cena 3,50 mr.

— Jordan (Julian Wieniawski). Pisma. Tom I. Wędrówki delegata. Tom II. Przygody panów Marka i Agapita podczas wystawy rolniczej w Warszawie. Kraków 1894. Cena jednego tomu 3 mr.

— Leon Gerardin. Botanika ogólna. Przełożył W. M. Kozłowski. Warszawa 1894. Cena 1 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

— Prosimy usilnie współpracowników naszych o nadsyłanie rękopisów czytelnych.

— Fr. G. „Rodzina Polanieckich" nie ukazała się dotąd w całości.

— 100. Wydrukujemy pod warunkiem, że Pan zgodzi się na skreślenie ostatniego ustępu.

— Maryi. Dziękujemy za życzenie, ale prośbie jej zadość uczynić nie możemy. Sprawa ta czysto osobistej natury rzuca charakterystyczne światło na jednostkę pewne, lecz nie nadaje się nawet do feljetonowej dyskusyi.

— K. M. Piotr Chmielewski bawi obecnie w Zakopanem. W połowie lipca wyjeżdża na zjazd literacki do Lwowa.

— Annie. Dwutygodnik „Przedświt" nie ma nic wspólnego z wydawanem swojego czasu przez Maryą Konopnicką czasopismem „Swit". Kierunek „Przedświtu" jest nieco blady. Artykuł wiadomy, nad którego czczością i brakiem logiki tak gorzko Pani utyskuje, zredagowano w Poznaniu: domysły zatem są słuszne. Motywy, które redakcyą skłoniły do zamieszczenia takiej banalności, są dla nas zupełnie jasne.

— X. X. „Socios habuisse malorum" — to mała pociecha. Ale uspokójcie się. Stoimy niezłomni przy sztandarze naszym.

— Jednemu za wielu. W najbliższym czasie spełnimy życzenia. Mamy zamiar ogłosić kilka nowel Augusta Strindberga, rzucających ciekawe światło na kwestyę kobiecą w Norwegii i zawierające ciekawą choć jednostronną charakterystykę kobiety nowoczesnej, a mianowicie jej stosunku do męża.

Sprostowanie.

— W liście p. W. Szukiewicza, zamieszczonym w ostatnim numerze „Przeglądu" wydrukowano mylnie „Z słowiańskiego Okoli" zamiast „Z Słowackiego Okoli"

Od Administracyi.

— Ponieważ w Nr. 13 „Przeglądu Pozn." ustawiono dwie stronnice w fałszywym porządku, zatem dołączamy dzisiaj po raz drugi arkusz odpowiednio złożony, którym stronnice 3, 9, 4, 10 zastąpić należy. Zamianę tę z łatwością uskutecznić można przez odcepienie błędnie ustawionych stronnic i wsunięcie poprawnego arkusza.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „PrzegląduPoznańskiego." Czcionkami W. Simona w Poznaniu.